



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

ZJAZD PEDAGOGÓW W KRAKOWIE,

XV WALNE ZGROMADZENIE

GALICYJSKIEGO TOWARZ. PEDAGOGICZNEGO

w d. 18, 19 i 20 Lipca 1881 r.

I.

Poważny i powolny staruszek, Kraków ożywał się kilka razy w ostatnich latach; miał takie chwile, w których zdawało się, że uczują w nim, jak ongi, monarchowie świata: wrzały tłumem ulice i place, roily się pobożnymi świątynie Pańskie, przepełniały się zbiory pamiątek i zabytków tymi, co polskie imię noszą, co z dalekich zakątków odbyli pielgrzymkę do grodu pamiątek, do panteonu przyszłości, do Rzymu polskiego. I rzeczywiście też, ucztowali w nim monarchowie i mocarze, odbierali hołdy wybrańcy geniuszu narodowego; i wychylali się tam z grobów tacy, co przed czterystu laty dźwigali na swoich barkach i sprawy kościoła i państwa i nauki i oświaty i prarodzinnej pobożności; powstawali z prochów, aby zbierać laury przez czterowiekową potomność uwite.

Gdy przeszły świetne chwile uroczystości, znów Kraków pozostał spokojny i cichy, tylko wyświeżony, jak osoba po godach. Białe Sukiennice dumają na środku rynku. Cisza ta i spokój krakowski przerywa się tylko niekiedy w lecie przejazdem gości do wód krajowych i zagranicznych. W roku bieżącym na dni kilkanaście Kraków znów się przemienił w miasto ludnie ożywione; był świadkiem dwóch zjazdów, po sobie następujących:

XV-go walnego zgromadzenia pedagogów galicyjskich i III-go zgromadzenia lekarzy i przyrodników polskich.

Pierwszy zjazd odbył się w d. 18, 19 i 20 Lipca, drugi — dni następnych. Zjazd pedagogów był prawie trzy razy liczniejszym od zjazdu lekarzy i przyrodników. Przyjęło w nim udział przeszło półtora tysiąca uczestników, w liczbie których było i kilkunastu pedagogów i sprawozdawców z Królestwa, w charakterze gości. Gdyby sądzić o tym zjeździe z tego tylko, co się widziało, wrażenie wypadłoby arcyświetne; gdy nam przychodzi jednak sądzić z tego, co się tam słyszało, zapal nasz musimy do pewnego stopnia zmodyfikować i wyznać, że, jak w tym roku, małe rezultaty pod względem naukowym z posiedzeń wypadły. Już-to Galicya ma pewien dar do wszelkiego rodzaju reprezentacji, nadzwyczajności, pozorów; ale poza tą formą błyskotliwą kryje się przerażający nieraz brak treści. Wyjątek stanowi tu poniekąd Towarzystwo Pedagogiczne, które obecnie liczy w swoim gronie 2,709 członków, stanowiących 40 oddziałów i 79 kółek pedagogicznych; w oddziałach tych i kółkach odbywają się posiedzenia, odczyty i rozprawy z zakresu nauczania początkowego, dowodzące, że nauczyciele elementarni w różnych zakątkach kraju nie próżnują nazewnątrz swych obowiązków. Doroczne walne zjazdy towarzystwa (połączone zwykle z jaką uroczystością głębszego znaczenia, n. p. odsłonięcie pomnika Korzeniowskiego w Brodach, pomnika Karpińskiego w Kołomyi), świadczą o ciągłym rozwoju spraw szkolnych w Galicyi, o wszechstronnej działalności zarządu towarzystwa.

Zasługi Towarzystwa Pedagogicznego zbyt są znane, abyśmy je tu wyliczać potrzebowali; czytelnicy *Bluszcza* miewają od czasu do czasu korespondencje z Galicyi, w których i sprawy szkolne i działalność Towarzystwa i jego publikacje, jak czasopismo *Szkola*, *Biblioteka dla nauczycieli ludowych*, *Biblioteka dla uczniów szkół przemysłowych*,

Biblioteka dla młodzieży, miejsce swoje i ocenę znalazły. Powołując się na tamte korespondencje, ograniczymy się tutaj na zdaniu sprawy z ostatniego zjazdu, który pod względem liczebnym nie miał dotąd równego sobie.

Przed rozpoczęciem tego zjazdu zawiązał się w Krakowie komitet lokalny, złożony z czterech oddziałów: programowego, kwaterunkowego, uczetowego i wycieczkowego. Oile cztery te oddziały czynności odpowiednio wykonywały, nie możemy tu zaznaczyć, to tylko pewna, że komitet gospodarczy lekarzy i przyrodników wyprzedzał pp. pedagogów, którzy dopiero w przeddzień zjazdu mieli stojącą sessję w biurze, tegoż dnia otworzonem; i to także pewna, że wycieczki pedagogów mimo czynnego zajęcia się niemi profesora Pajaka, rozbiły się na drobne kółka, organizowały na swoją rękę, nadużywając może praw swoich czasami. Gazety niekorzystnie pisały o niewłaściwym zachowaniu się jednego takiego kółka przy Morskiem Oku.

W Niedzielę, po południu dnia 17 Lipca, licznie zebrana publiczność krakowska i szpalery straży ogniowej oczekiwały na dworcu kolei głównego kontyngensu pedagogicznego ode Lwowa. Jakoż zjawił się wielki pociąg nadzwyczajny, strojny zielenią i herbami miast Krakowa i Lwowa. Krótką przemową przywitał prezydent Weigel gości, w osobie prezesa zjazdu p. Sawczyńskiego, na co tenże również krótko a dobitnie odpowiedział. Na peronie odbierali przybyli, zapisani uczestnicy zjazdu, pod swoim nazwiskiem koperty, w których mieściły się adressy zamieszkania, różne informacje, programmata, karty, bilety na obiady bezpłatne. Oile nam wiadomo, miasto wyznaczyło 1,000 guldenów na przyjęcie pedagogów. Tłumy przybyłych rozjechały się i rozeszły po mieście; można było widzieć gromadki postępujące za posłańcami, co nieśli na wysokich sztandarach napisy, oznaczające pewne dzielnice i ulice. Nie wiemy, oile tam wygodnie było niektórym przy-

byszom, w zaofiarowanych przez mieszkańców Krakowa kwaterach; wiadomo nam tylko, że goście z Warszawy, od których nawet wpisowego w ilości półtora guldena, jako od gości, nie przyjęto, znaleźli przyzwoite pomieszczenie. Dodajemy nawiasem, że nazwiska wielu przybyśzów z Królestwa, tak pedagogów jak lekarzy i przyrodników, nie figurowały na liście uczestników obu zjazdów.

Około godziny 5-ej d. 17 Lipca, to jest wkrótce po przyjeździe pedagogów, rynek krakowski przedstawiał niezwykle zjawisko; tłumy przybyśzów zebrały się naokoło Sukiennic. Ztąd przez rynek, ulice Wiślną i Zwierzyniecką, wyruszone na kopiec Kościuszki. I pięknie się stało, że ci pielgrzymi z dalekich zakątków Galicji, nie otrzepawszy jeszcze szat z kurzu podróży, podążyli oddać cześć pamięci bohatera, podążyli na kopiec, ręką narodu całego usypany, na kopiec, co mieści w sobie ziemię zpod Dubienki, Raławic, Szczekocin, Maciejowic.

II.

W Poniedziałek, d. 18 Lipca, rano, odbyło się nabożeństwo w kościele rzymsko-katolickim świętej Anny i grecko-katolickim św. Norberta, dla Unitów. Poczem zebrano się tłumnie w sali amfiteatralnej gimnazjum św. Anny. Pamiętna to sala: w niej odbywały się różne uroczystości; w niej miał odczyt Trętowski; w niej wręczono dyplom Kraszewskiemu; Obrazy mężów przeszłości, nie wyjmując Kościuszki, rozwieszone po ścianach, dodają sali tej powagi i uroku. Powitali zgromadzonych imieniem miasta Krakowa prezydent Weigel i wice-prezydent Muczkowski; poważne słowa, tchnące staropolską gościnnością, licowały z poważanymi narodowymi strojami reprezentantów miejskich. Na przemówienie prezydenta odpowiedział w długiej dość mowie prezes zjazdu, p. Sawczyński. Jest to mówca nieposledni, posiadający w wysokim stopniu sztukę władania słuchaczami; wypowiedział też parę rzeczy pięknych, serdecznych, duchem obywatelskim i zamiłowaniem nauczycielskiej działalności owianych.

Nie będziemy szczegółowo opisywać pojedynczych głosów, jak n. p. p. Stawarskiego, rektora miejscowego gimnazjum, p. Jabłońskiego, dyrektora seminarium nauczycielskiego męskiego w Krakowie; pominąć musimy wiele punktów odnoszących się do strony formalnej zjazdu i do wewnętrznych spraw towarzystwa i ograniczymy się na dotknięciu kwestii ogólniejszego znaczenia. Do takich właśnie należał wykład Dra Żulińskiego, profes. seminarium żeńskiego ze Lwowa, zasłużonego, choć młodego jeszcze pedagoga, autora wielu broszur, traktujących nauki przyrodzone w stosunku do szkoły elementarnej. I tym razem wykład zamykał się we właściwej kierunkowi umysłowemu prof. Żulińskiego materii, mając tytuł: *Czy i oile należy żądać ograniczenia lub zmiany planu nauk przyrodniczych dla szkół ludowych, mianowicie historii naturalnej?* Nie będziemy wdawać się w krytykę samego tytułu, ani też poszczególnych wyrazów mówcy, jak to robili niektórzy sprawozdawcy; idzie nam o rzecz przede wszystkim. Mówca wskazywał metodę, jakiej się trzymać powinni przy wykładzie nauk przyrodzonych nauczyciele ludowi; proponował stopnie, na jakieby wykład tego przedmiotu rozdzielić potrzeba; wykazywał, że na pierwszym stopniu nauki, nie powinniśmy dzieci odstraszać wyliczaniem i opisywaniem systematycznym wielkiej liczby okazów, nie powinniśmy przynosić ich szeroko rozschmatowanym kursem, ale tylko zaznajamiać praktycznie z okazami najbliższego otoczenia, budzić zmysł spostrzegawczy. „Tu nie idzie o Zoologię, ale o wołu i koguta, nie idzie o Botanikę, ale o kapustę i marchew, nie idzie o Meteorologię, ale o deszcz, a deszcz nie święci wylewają z nieba“. Powstawał mówca przeciwko zwyczajowi opowiadania anegdotek o zwierzętach, które nie mają nic wspólnego z nauką; powstawał przeciwko męczeniu dzieci systematycznymi opisami, które mogą dostarczyć, tematów do ćwiczeń stylistycznych, ale nie są na miejscu przy początkowym za-

znajamianiu dzieci z przyrodą, przy którym idzie o poznanie przedmiotu z wejrzenia, o ogólne pojęcie, o uchwycenie jego cech charakterystycznych w porównaniu z innemi, o zaznaczenie korzyści lub szkody, jakie nam przynosi. Pan Żuliński akcentował dobitnie podział nauki na stopnie, wykazując, jak nauczyciel umiejętnie grupować powinien szczegóły, żeby nie zaciemniać niemi z początku rzeczy głównej, nie odstraszać dzieci; jak je zastosowywać w następnych latach nauki. W przeprowadzeniu tej zasady podzielił zasłużony pedagog wykład nauk przyrodzonych na cztery stopnie, przeznaczając na każdy po dwa lata szkoły ludowej.

Co do Zoologii, żąda p. Żuliński, aby w pierwszych dwóch latach ograniczyć ją do odróżniania najpospolitszych zwierząt, słowem, rzecz o zwierzętach uważać na tym stopniu nauki za materiał poglądowy; w następnym dwuleciu, to jest w trzecim i w czwartym roku nauki dzieci, ten sam materiał rozwijać wyżej, traktować go szerzej drogą porównania, do dawnych szczegółów sprawdzanych dodawać nowe, mówić o opiece nad zwierzętami, o hodowli zwierząt domowych, o tępieniu szkodników; w trzecim dwuleciu, to jest w piątym i szóstym roku nauki dzieci, tudzież w 7 i 8, to jest uzupełniającym, bardziej szczegółowo zapoznawać młódz ze zwierzętami, z ich zwyczajami i sposobem żywienia się, zaokrąglać wiadomości z Zoologii, następnie wkładać do praktycznych zajęć, jak na przykład zakładanie pasiek.

W podobny sposób mówca stopniuje wiadomości z Botaniki.

1) W pierwszym dwuleciu obznajomienie się z częściami roślin na okazach, jak liść, łodyga, korzeń, kwiat, owoc, a także odróżnianie najpospolitszych roślin np. warzywa, drzewa owocowe.

2) W drugim dwuleciu bliższe rozpatrzenie się w roślinach, pod względem ich podobieństw i różnic.

3) W trzecim dwuleciu ujęcie w całość wiadomości o roślinach, o ich życiu i wogóle takie wiadomości, które przysposabiają do zajęć praktycznych.

4) W czwartym dwuleciu warunki uprawy roślin, praktyczne zajęcia jak: zbieranie, suszenie i t. p.

Podobnież na cztery stopnie dzieli p. Żuliński wykład Mineralogii: na pierwszym: minerały najpospolitsze, sól, metale; na drugim: porównanie minerałów, niektóre ich własności; na trzecim: minerały w massach codziennie spotykane: kamienie, skały, wapień, glina, kwarc; na czwartym tworzenie się skał w ziemi, rolnictwo.

Cztery stopnie również powinna mieć Nauka o częściach ciała człowieka. — stopień pierwszy: nazwać i odróżnić części ciała, oznaczyć ich położenie; stopień drugi: bliższe obserwowanie organów zewnętrznych, ich znaczenie i pielęgnowanie; stopień trzeci: organa wewnętrzne, ich przeznaczenie i funkcje; stopień czwarty: praktyczne wskazówki higieniczne o ratowaniu i pielęgnowaniu chorych.

W drugiej części wykładu swego mówca zastanawiał się nad sposobami wykonania całego planu nauki, przede wszystkim wykazywał metodę, jakiej się trzymać należy; powstawał przeciwko pływaniu po materiale, rozwałkowywaniu przedmiotu gubieniu się w szczegółach, a natomiast zalecał umiejętnie stopniowanie, doprowadzające wkońcu do zaokrąglenia całości, przemawiał za uwydatnieniem praktycznej strony rzeczy, co jednak wcale nie powinno ujmować nauce kształcącego znaczenia, przeciwnie: wykład powinien coraz silniej obudzać zajęcie się uczniów, zaostreżać ich ciekawość, a coraz większe rozpatrywanie się w dziełach przyrody doprowadzić musi do podziwiania mądrości Stwórcy, podnosić uczucie religijne. Mówca rozumie to dobrze, że wykład podobny potrzebuje nauczyciela dobrze obeznanego z przedmiotem. Wielką tu usługę nauczycielom oddadzą dobre i szczegółowe podręczniki. Plany, instrukcje szczegółowe — nie wystarczają. Tu wszystko zależy głównie na dobrym nauczycielu, to jest pedagogu, który, choćby był mniej biegłym, w przedmiocie, może nauczać z pożytkiem, przy pomocy dobrego podręcznika. Kwestya podręczników ważną jest, nie tylko w Galicji, ale i wszędzie. Zwyczaj bywają to książki przepisane i zalecone

przez ministerium do użytku wszystkich szkół w państwie. Czy książka taka może mieć na każdym punkcie długości i szerokości geograficznej równie praktyczne znaczenie? Zaczynamy naukę z dziećmi od zjawisk przedmiotów otaczających: czyż wszędzie są one teżsame? Ztąd też, na przykład, książka zalecona przez uczonych nad Newą może się wcale nie zalecać nad — Wołgą albo w kraju Zakaukaskim.

(Dalszy ciąg nastąpi).

OSTATNI LIST

skreślił

A. Ch....

(Dalszy ciąg).

Ta zimna krew uspakajająco oddziaływała na wszystkich; niebawem natrafiłszy na mieliznę; łódkę nam z brzegu na ratunek wysłano; byliśmy ocaleni. Pomimo ogólnego popłochu, zauważono tę moją pogardę śmierci, wiarę niezwykłą w przeznaczenie, i od dnia tego urosłem w przekonaniu rodziny naszej. Odtąd, ilekroć groziło mi niebezpieczeństwo, spokojnie oczekiwałem rozwiązania katastrofy, śmiało stojąc na plaży, bo tak się wcieliło we mnie poczucie wyższości, prawdziwej czy urojonej, że lekceważyłem wszystkich i wszystko, nawet ślepe żywioły. Niepodobnięstwem wydawała mi się śmierć, dopóki-bym nie spełnił przeznaczenia swego.

A los się tymczasem ironicznie uśmiechał — pozornie utwierdzając mnie w fałszywym mniemaniu. Pewnego wieczora — dzień ten, dzień tryumfu mego, nazawsze mi w pamięci pozostał, zebrało się liczne towarzystwo w naszym domu. Znajomi byli przyzwyczajeni widzieć we mnie przyszłego, niepospolitego wirtuoza — wziąłem więc skrzypce i grać zacząłem. Pomiedzy gośćmi był znany jeden skrzypek, który naumyślnie przybył, aby mnie posłuchać. Gra moja, gra dziecka piętnastoletniego, chociaż nie odznaczała się niczem osobliwem, wywarła na nim wrażenie, bo po skończeniu schwycił mię, podniósł, pocałował i rzekł:

— Gdy aureolą sławy swe rodzinne imię okryjesz, nie zapominać, że ci stary A*** pierwszy ją przepowiedział!

Boże mój! Jakto można było dziecku takie rzeczy prawić? — Nie wiedziałem, że skrzypek-weteran na wpół był już głuchy.

Tegoż roku zaczął mnie uczyć grać na skrzypkach jakiś głośny Niemiec, wkrótce jednak odmówił, gdyż mieniać się już wtenczas wyższym od niego w tej sztuce, mało ważylem jego rady; prztem nie miałem dość cierpliwości, by spełniać ściśle wszystkie formułki postronne, jakie mój nauczyciel, zwolennik — jak sądziłem — jakiejś szkoły archaicznej, na mnie wkładał. Mnie się chciało odrazu komponować symfonie, improwizować a nauczyciel kazał mi grać gammy i studiować przykłądnie wielkich mistrzów; ja zaś brzdąkać cały dzień byłem zdolny, ale systematycznie nie chciałem pracować.

— „Nie o formę tu idzie, ale o treść“ — mówiłem do nauczyciela; a on mnie nudził całemi godzinami, pokazując, jak skrzypce, smyczek i rękę trzymać należy, jak podkładać chustkę pod skrzypce i palcami przebieierać po strunach!

— Wszystko to dla innych może potrzebne — wołałem — ale nie dla mnie.... Ja chcę grą moją czarować, nie zaś z trzymaniem ręki się podobać!

Matka moja wzięła drugiego nauczyciela, lecz, naturalnie, okazało się, że i ten drogą poprzednika zdążył.... Miałem wielkie względy u matki, zaowojowałem ją — jak to mówią — zupełnie; bezwąt-pienia wpłynął na to ów talent do muzyki, a zarazem legendowa przepowiednia. Prózno więc nauczyciele skarżyli się na mnie matce: nic to nie pomagało.

Śluchaj, Zenonie! Tyś nigdy nie czuł tego, co ja, i ztąd też niezdolny jesteś pojąć, jaka zachodzi różnica pomiędzy artystą-rzemieślnikiem a artystą-poetą! Tyś nigdy nie czuł tego boskiego płomienia, który w piersiach pała i całe jestestwo człowieka ogarnia. Jak-że wtenczas maluczkim świat ten się wydaje, z jaką pogardą spogląda się na resztę ludzi! Nie dziw się więc, Zenonie, że czując w mej piersi jakąś cząstkę natchnienia, podsyconego wybujałą fantazją, rozkołysanego legendą rodową, pogardzałem swym nauczycielem i innymi ludźmi, — i nie chciałem wciąż grać gam. A bez tego, bez wprawy, która częstokroć geniuszowi twórczemu dopomaga a nawet pozornie naśladować go potrafi, nie można iść w sztuce naprzód. Przytem, według kardynalnego prawa postępu, należy stać na wysokości sztuki w danej chwili, na tej wysokości, na jaką ją wyniosły geniusze poprzedników: a tymczasem dumam wzbraniała mi grać to, co mistrze stworzyli, lękałem się, że ulegnę ich wpływowi, obawiałem się naśladownictwa. W szkole uczyłem się przecie u nauczycieli: a tu zrozumieć nie mogłem, że i sztuka potrzebuje dla siebie szkoły, że musi mieć nauczycieli i uczniów.

O gdybym się mógł raz drugi narodzić! Wiesz, Zenonie, wtenczas wyszedłbym może na znakomitego artystę. Ale... próżne żale... Młodość nie wraca. Jam tylko latami jeszcze młody. Pieśń życia raz tylko brzmi: moja podobna do marsza smutnego, do jakiegoś *Requiem*. Życie mi ją tak zaśpiewało, lecz większa część winy spada — na mnie samego.

Wkońcu nikt mnie już uczyć nie chciał, bo każdemu mówiłem na wstępie, że jestem geniuszem; że nie tylko czuję siły w sobie, lecz nawet Opatrzność oddała mnie przeznaczyła na to, bym świat zadziwił i złączył ludy w uwielbieniu arcydzieła. Gdy mnie ostatni opuścił nauczyciel, powiedziałem matce, że wszystko są to głupstwa, gdyż każdy swoją miarką mierzy; że oni mnie zrozumieć nie mogą; że ja na to przyszedłem, by nową prawą harmonii stworzyć, by odrzucić wszelkie czele formułki i wygłosić pieśń, co koroną będzie wszystkiego, czem się świat szczyści dotąd w dziedzinie melodii.

Uczyłem się więc sam, improwizowałem, i nie tylko na skrzypcach, lecz i na fortepianie, i na innych instrumentach.

Tak żyłem do lat dziewiętnastu. Wtedy zaczęła się nowa epoka. Odwracam więc w księdze życia nową kartę, jedną z tych niewielu, co opromieniły chwilą szczęścia całe lata męczarni.

Pewnego razu, na wiosnę, pod wieczór, zadumany spoglądałem z weneckiego okna mego pokoiku na miasto. Dumne myśli, jak zawsze, roily się w głowie niespokojnej. Rwałem się do wiedzy, do prawdy, a dopóki dzień czynu nie nastąpił, marzyłem: wiosna do marzeń usposabia.

Wtem zauważyłem, że gołębie i wróble zaczęły się w jedno miejsce zlatywać: na blachę pod oknem sąsiedniego domu. W oknie, pomiędzy kwiatami, ujrzałem wysmukłą, jasnowłosą dziewczę, o bladobłękitnych oczach; stała i karmiła ptaszka. A one, szczególnie gołębie, bardziej oswojone, siadały jej na ramieniu, z rąk pożywienie brały, bynajmniej się nie trwożąc. Pożywienie, gdy już wszystkie okruszyny wysypało, zanuciła śpiewną piosnkę Zaleskiego:

Odziany w blask
Przesłańcze łask,
Aniele, stróżu mój!
Oświecaj, chroni,
I w dłoni dłoni,
Tocz obok ze złem bój!

Zadrzało moje serce młodzieńcze; pierwszy raz w życiu dostrzegłem, że muzyka jedna nie wystarczy mi. — Dziewczę śpiewało dalej:

Bym w biegu lat,
Zmógł ciało, świat,
Wybielał z moich zmaz —
Aż czysty duch,
Jak z drubem drub,
Do ojca — wzlecim wraz!...

Odtąd codziennie pod wieczór widziałem, jak sąsiadka moja karmiła ptaszki, codziennie słyszałem jej śpiew uroczy. Po całych dniach niecierpliwie oczekiwałem zmroku, czatowałem przy oknie. Od odzwiernego dowiedziałem się, że jej na imię Eugenia, że jest sierotą i mieszka przy ciotce. W kilka dni potem, gdy dziewczę karmiło ptaszka i nuciło swoją piosnkę, schwyciłem skrzypce i, zlekka smyczkiem dotykając strun, zacząłem jej akkompaniować. Eugenia z początku nie zauważyła tego, ale gdy głośniejsz zagrał, przestała śpiewać; i ja też skrzypcom nakazałem milczenie. Ona po chwili przerwy znowu śpiewać zaczęła — a ja znowu wziąłem się do akkompaniowania. Nowa przerwa, podobnie jak za pierwszym razem, przez nią wywołana. Musiała posłyszeć z kąd dźwięk wychodził, a może ja wzrokiem moim ku sobie ją przywołałem: podniosła nagle oczy. Nie miałem czasu schować się: dojrzał mnie słowiczek. Zmieszkała się bardzo; blada jej zwykle twarzyczka przesłiznie się zapłoniła; delikatne, prawidłowe jej rysy przyjęły wyraz niezadowolenia; czempredziej zamknęła okno.

Na drugi dzień naprośnie wyczekiwałem sąsiadki, naprośnie wróble i gołębie zleciały się zewsząd pod okno: dnia tego pożywienia nie otrzymały; a i nazajutrz były niezadowolone — okno się nie otworzyło. Byłem zły, smutny, niespokojny. Chcąc wywołać znowu uroczyste zjawisko, siadłem na oknie, wziąłem skrzypce i zacząłem grać; spodziewałem się, że gra moja przywabi sąsiadkę, i w rzeczy samej, po chwili zauważyłem ciekawą główkę pomiędzy firaneczkami białymi, a wkrótce potem i okno się odchyliło. Ja grałem dalej. Nazajutrz znowu takiegoż sposobu użyłem; wkońcu zacząłem dobierać melodię do piosenki, którą Eugenia nuciła. Śpiewałem i akkompaniowałem sobie na skrzypcach:

Odziany w blask,
Przesłańcze łask,
Aniele, stróżu mój!

Szło wcale nieźle: okienko coraz szerzej się rozwierało.

Oświecaj, chroni,
I w dłoni dłoni
Tocz....

Tutaj zapomniałem słów; zacząłem sobie przypominać. Znudziło to zapewne niecierpliwą sąsiadkę moją, więc zdradzając siebie, podpowiedziała mi, być może machinalnie:

Tocz obok ze złem bój!

I znowu skryła się główka jasnowłosa. Ale na drugi dzień gołębie i wróble bardzo były zadowolone: otrzymały więcej niż zwykle. Korzystając z tego, zaśpiewałem: „Odziany w blask...“ Dziewczę tym razem nie zamknęło okna, zapłoniło się i patrzyło na ziemię, niby nie słysząc; lecz od tej chwili zgoda nastąpiła: doszło do tego, że niekiedy razem, przy akkompaniowaniu skrzypiec, śpiewaliśmy już oboje. Wkrótce potem, z najblahszego powodu, zabrałem z ciotką mej sąsiadki znajomość i zacząłem bywać. Parę dni trzymałem te odwiedziny w tajemnicy; następnie powiedziałem matce i siostrę z Eugenią zaznajomiłem.

Jakżem się czuł dumnym, jakżem był upojony szczęściem, gdy ja grał na skrzypcach, a ona na mnie patrzyła lub śpiewała razem ze mną! Głosy nasze łączyły się w melodii, łączyły się też myśli i serca. Jaki to był tryumf dla mnie i rozkosz, gdy po zagranyim ustępie zbliżała się do mnie i, rączkę mi podając, dziękowała za przyjemność! Towarzyszyłem jej na przechadzkach w piękne dni letnie. Ach, były to dni najpiękniejsze w mem życiu!

Siostra moja, Marya, acz młodsza od nas, umyśłem kobiecym wcześniej odgadła, co się święci, i nie okazując tego, z delikatnością i czułością kochającego serca, cieszyła się i ułatwiała nam spotkania. Raz, gdyśmy śpiewali razem, szarą godziną, pochwyciłem rączkę Eugeni i do ust poniosłem. Nikt nie widział — było ciemno. Eugenia rączkę wyrwała, a potem spojrzała na mnie wzrokiem tak czułym, tak łzawym, że ledwie się nie wydał przed matką z tajemnicą. Nie mogę za-

przeczyć: były i w mojem życiu boskie chwile szczęścia, lecz jakże krótko trwały! Ach! gdy wspominam ten czas błogi, a obok tego późniejsze lata, jakże mi się serce kraje, jakże mi żal tego raju utraconego! Raz, wśród rozmowy, Eugenia powiedziała mi:

— Zawsze żałuję, że brata nie mam.

Skorzystałem z tego.

— Przepraszam panią — rzekłem gorąco — więc pani mnie za brata nie uważa? A to się nie godzi. Jeżeli nie jestem bratem ze krwi, może mi pani pozwoli być bratem — z ducha?

(Dalszy ciąg nastąpi)

LISTY KRAKOWSKIE.

I.

Charakterystyka sezonu letniego krakowskiego. — Przejazdy do wód i w góry. — Nasza krakowska niepraktyczność. — Jak fakta zaprzeczyły zdaniu Klaczki o sztuce polskiej. — Solidarność i koterijność. — *Picard*. — Złośliwe recenzje — Zniechęcenie. — Natura ciągnie wilka do lasu. — Jego nowy obraz. — Jak go artysta maluje. — Teatr letni. — Repertuar dla przejezdnych. — Józef Rychter. — P. Stanisław Kozmian. — Horoskop przyszłości teatralnej.

Kraków ulega takimusamemu prawu wyludnienia letniego, jakiego doznają na sobie wszystkie inne większe miasta. Tu jednak znajdujemy pewien wariant, wpływający na ożywienie naszego grodu. Na wiosnę tłumy turystów i *kuracjuszków*, udających się w góry i do źródeł leczniczych galicyjskich, zatrzymują się na naszym bruku, aby zapoznać się z pomnikami i pamiątkami. Tu prawowierni czciciele wspomnień, pątnicy serdeczni, zatrzymują się dłużej; dzieci zaś chwili bieżącej, jaskrawe motyle i ciemne ćmy, do świec lecące jak do słońca — bawią krócej, króciutko, przelotem tylko. Ten ruch, ta fala przyływu, „wre, szumi, pryska“ i zwiększa się ciągle przez kilka tygodni. Uderzając o czerwone mury Panny Maryi, zagłębianie w grunt nasypowy, lub o nowe filary starych Sukiennic, budzi życie jakieś niezwykle, jakieś krzątanie się o charakterze świątecznym, jakas *majówkową* wesołość. Nagle wszystko cichnie i nastają ponure tygodnie upałów, wśród których jednakże pozostały na miejscu, pracowity ludźk bawi się w dnie wytchnienia odczo, to wycieczkami do prześlicznych okolic, to peregrynacją rytmiczną, w takt muzyki wojskowej, pod cieniem rozłożystych drzew *plantacji*. I znowu koniec Sierpnia i początek Września rzucają na bruk nasz wracających turystów, falą odpływu, szumiącą mniej gwarnie, ale raz jeszcze ożywiającą gród podwawelski. Z temi ostatnimi, corocznie, podwójnemi odwiedzinami różnie nam jakoś, i dlatego lato — dla Warszawian tak ciężkie, nudne i nieprzyjemne — wydaje się nam prawie zawsze miłym i przyjemnym; my bowiem, pomimo, że jesteśmy sztywni, poważni i zimni, mamy trochę więcej serdeczności od was. Wy — przez pryzmat dobrobytu waszego, patrzycie na sprawy ludzkie nieraz zbyt trzeźwo i pozytywnie, ba! nawet czasem cynicznie; my, naszą niezaradnością zacołani, żyjemy jeszcze uczuciem, które tak łatwo w popiołach dawnej i niedalekiej przeszłości wygrzebać możemy.

Krzyczą też na nas waszą tak zwaną niepraktyczność, za to, że tak mało uprawiamy niwę materialnych korzyści, że nie umiemy stworzyć u siebie właściwego nam przemysłu i wzbogacić się szybko. Może i na to zdobędziemy się kiedyś; dziś zaś cieszymy się, że nauka i sztuka kwitną u nas i rozwijają się pomyślnie. Ktoby powiedział, przed dwudziestu laty, czytając zwłaszcza zdanie Klaczki o sztuce w Polsce, że fakta tak szybko wpłynąć będą musiały na zmianę przekonań znakomitego publicysty i ogółu? Wybujała, niezwykle talenta Matejki, Siemiradzkiego, Brandta, a wokoło nich licznej plejady młodszych, ale dzielnych pracowników, świadczą codziennie, że Opatrzność i natura obdzieliły nas wszystkimi zdolnościami. Oby tylko wytrwałości i charakterów nie zbrakło, oby

choć o kruszynę więcej solidarności, więcej chrześcijańskiej pobłażliwości a mniej samolubstwa i zarozumienia! moglibyśmy śmiało w nawigacji narodowej nawy, omijać wszelkie skały podwodne i płynąć ku brzegom nadziei z żaglami lśnącymi od promieni słonecznych. Ale o solidarność i szeregowanie pod sztandarem zasad a nie osobistych koteryjek u nas najtrudniej. Na każdym polu działalności zawsze można spotkać kogoś zabitego lub ranionego postrzałem niespodziewanym, wyrokiem niesprawiedliwym, obojętnością niezasłużoną.

Przypominacie sobie zapewne nazwisko *Picarda*, malarza, który i was musiał zachwycić przed kilkunastu laty — swym „Konradem Wallenrodem“. Był to talent niezwykły, o polocie szlachetnym, męzkim. Nie wodził on sztuki na pokuszenie szkicowem smarowaniem płótna, ale sumiennie pracował nad techniką i, pomimo soczystości i zamaszystości energicznej pędzla, wykończył swoje obrazy ze starannością dawnych mistrzów. Otóż temu wyżej wspomnianemu Picardowi przytrafiło się, iż zrobił obraz mniej udatnie skomponowany, jakkolwiek namalowany doskonale. Obraz ten nazywał się: „Zborowski przed Zamojskim“. Wiem, że widzieliście go także na Wystawie Warszawskiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. Obraz stanowił był gorszy od poprzedniego, ale pomimo to posiadał niezaprzeczane zalety. Zawistni nie chcieli widzieć tych zalet, a wady wszystkie dostrzegali. Posypały się recenzje, jedna zjadliwsza od drugiej, a młody artysta, zniechęcony tą wrzawą złośliwą, złamał pędzel, chwycił za ołówek i zaczął uczyć dzieci rysować. Został nauczycielem rysunku w szkole realnej. Sumienny we wszystkim, co przedsięwziął, oddał się całemu nowemu powołaniu, tak, że nie pozostało mu chwili czasu na uprawianie sztuki, którą kochał całą duszą. Jednakże w duchu przysłowia „natura pociągnęła wilka do lasu“.

Nadeszły wakacje. W cichej pracowni Picarda na opuszczonej stalugach stało czyste płótno. Malarz rzucił na nie szkic dobrze obmyślany. Po feryach musiał się odeń oderwać, aby spieszyć do szkoły i przelewać w młodzieńskich swych uczniach do zamilowania do sztuki, które duszę jego rozgrzewa, tę wiedzę rysunkową, którą w długiej pracy sam nabył; ale szkic nęcił. W chwilach wolnych robił doń studia: raz główkę charakterystyczną o oczach wymownych, to profil kobiecy dziwnej czystości, to znowu akcesorya do tła: stiukowane ściany, gobeliny, kobierce, suknie jedwabne, meble z czasów Pierwszego Cesarstwa. Ta praca rozpaliała artystę, ale nie wyprowadzała go z cichej kolei zajęć nauczycielskich. O Picardzie zapomniano w świecie artystycznym. Inni, nowi malarze wyrastali jak grzyby po deszczu; ich nazwiska, zdobywające sobie uznanie, zacierały w pamięci ludzkiej twórcę „Wallenroda“. Picard nie uskarżał się, nie żalił przed nikim. Na jego twarzy, jaśniejącej dobrocią, przesunął się tylko czasami uśmiech ironiczny; ale on potarciem ręki zganiał i ten uśmiech i rzadko kiedy na czole osiadającą chmurkę, i spieszył do szkoły. W pracowni — do której nikogo nie wpuszczał — gromadziły się szczegóły do obrazu... gromadziły się coraz liczniej i układały w kompozycję dziwnie piękną, która i dziś jeszcze nie jest zupełnie skończoną, ale już przemawia do widza pomysłem, szlachetnością układu i bogactwem kolorytu. Wakacje tegoroczne dały jej to rozwinięcie, pozwalające sądzić już o przedmiocie jako o dziele niepospolitem.

Podłużne, niezbyt wielkie płótno (*tableau de cheval*) przedstawia chwilę historycznej burzy. Lokaj w bogatej liberyi przytrzymuje drzwi w komnacie książęcej, w sypialni wielkiej damy. Za temi drzwiami huczy pewno jakiś gwałtowny orkan ludowego gniewu. Kilka kobiet młodych i ładnych, w strojach z czasów Pierwszego Cesarstwa lub nieco późniejszej epoki (może Restauracji), zasłaniającą klęczącego na jednym kolanie i kryjącego się za nimi; zbieg przyciska szpadę do piersi z wyrazem przerażenia w bystrych oczach, z przestraszonym wypiętowanym na brzydkiej twarzy. Jedną z pań, żoną zapewne, w postawie dumnej Junony a może Egeryi, oparła się o stół i patrzy w drzwi, które kamerdy-

ner zamyka pośpiesznie. Dziwne uczucia miotają tę zbolalą a hardą duszę. Walka przywiązania i obowiązku stacza się w jej piersi. Cierpi — niewinna; kocha — winnego. W pośrodku grupy inna młoda kobieta wachlarzem zakrywa usta, pewno skrzywione od ironicznego uśmiechu, bo oczy jej wyrażają, nie litość, ale, przeciwnie, jakieś zadowolenie radosne. Ta nie żałuje ukrywającego się; potępiła go dawno i dziś cieszy się jego upokorzeniem. Inne postaci są albo zajmujące albo urocze. Szczegóły przepyszne, utrzymane udatnie w prześlicznym tonie wieczornego zmroku. Świece z żyrandola, zawieszonych u sufitu, rzucają na całą scenę blaski jaskrawe, chociaż harmonijne i spokojne. Kompozycja ta stanie niezawodnie obok najprzedniejszych utworów polskiego malarstwa i powróci Picardowi to uznanie zaszczytne, którem cieszył się ogólnie po pierwszych swoich pracach.

Z pracowni utalentowanego artysty, do której dostałem się niemal ukradkiem, i której, zdaje mi się, nikt w tych czasach nie odwiedzał, przenoszę się na ulicę Łubicz, gdzie w nędznej, drewnianej budzie, szumnie przezwanej Teatrem Letnim, zdziesiątkowana trupa dramatyczna krakowska grywa obecnie sztuki należące do starego polskiego repertoaru, a to gwoździem powracającym z wód kuracyuszom, którzy niedość chętnie spieszą na komedye francuskie, gorzej niż miernie wykonywane przez bardzo miernych aktorów. Dzięki też napływowi turystów z Królestwa wznowiono kilka sztuk Fredry (ojca) i Korzeniowskiego, jakkolwiek niefortunny wybór zrobiono w tych skarbach polskiej Muzy dramatycznej. Już to teatr nasz potrzebuje koniecznie radykalnej reformy, z każdym bowiem rokiem chyli się do coraz sromotniejszego upadku. Jak wiadomo wam, utalentowany artysta p. Józef Rychter, współdyrektor teatru, opuścił swoje zajęcie a sceną przeszła pod wyłączny zarząd p. Stanisława Koźmiana, jednego z redaktorów *Czasu*. Przed laty kilku p. Koźmian zajmował się teatrem i złożył niezaprzeczane dowody wielkich zdolności kierowniczych. Dbał o repertuar, starał się o utalentowanych artystów i inteligentną reżyserję, nadawał przedstawianym przez siebie utworom dramatycznym tę harmonijną całość, która więcej znaczy niż popisy wirtuozowskie kilku znakomitych aktorów wśród lichego *ensembli*. Czy obecnie jednak potrafi podjąć trudnemu zadaniu?... Nie wiemy.

Towarzystwo tutejsze składa się z bardzo nie-licznych niedobitków dawnego personelu posiadających trochę talentu i z liczного grona młodzieńskich uczennic lub uczniów dramatycznych, angażowanych prawie zawsze z najdrobniejszych i najsłabszych trup prowincjonalnych w Królestwie. Wszystko to nie może stworzyć jakiegokolwiek przyzwoitej całości. Aby ułożyć z tych improwizowanych aktorów teatr poważny, potrzebny byłaby praca kilkoletniej, pracy sumiennej i wytrwałej. Przedsięwzięcie teatralne samo przez się jest niegorszym interesem; przy oszczędności bowiem i rachunku, subwencya, wynosząca podobno kilkanaście tysięcy, — dana przez sejm krajowy i miasto na podnoszenie teatru, na wzbogacanie go repertuarem oryginalnym, doborowym, na kształcenie talentów artystycznych, pozostać może w kieszeni przedsiębiorcy jako zysk czysty. Dochody zaś z przedstawień, jakkolwiek małe, pokrywają niewielkie wydatki na utrzymanie skromnie płatnych wykonawców. Nie możemy twierdzić, aby ta kombinacya finansowa była rzeczą dobrą; ale cóż robić! Najzaczynię stronnictwa, jak najzaczynię królowie, mają niekiedy swoich faworytów, swoje *enfants gâtés*, a zepsute dzieci igrają często ze sprawami ogółu lekkomyślnie, z rzeczy pożytek powszechny przynieść mogących wyciągając za ledwie... korzyść osobistą. Zresztą może zbyt pesymistycznie zapatrujemy się na sprawę teatralną; może sezon zimowy urzeczywistni nadzieje lubowników sceny narodowej i przyniesie zapowiedź reform koniecznych potrzebnych. Spodziewać się należy, iż p. Koźmian na stanowisku dyrektora teatru zostawić zechce po sobie dobre wspomnienie dobrze spełnionych czynów.

Janusz Radliński.

MIKOŁAJ SEP SZARZYŃSKI

przez

Wiktora Czajewskiego.

(Dalszy ciąg).

Do szeregu pieśni religijnych Szarzyńskiego należą jeszcze:

Pieśń I: „O Bożej Opatrzności“, pieśń II: „O rządzie Bożym na świecie“, III: „O wielmożności bożej“. Dwie pierwsze pieśni są oryginalnymi Szarzyńskiego.

I znów w nich, więcej nawet niż w innych, jest on poetą myślicielem i filozofem, zawsze jednak religijnym:

Nie trafunek przygodny ludzkie sprawy rządzi
I fortuną szaloną, choć upornie błądzi,
Chęlna twarzą munsztukiem twego moc rządzenia.
[nia,
O mądrości, uszykłego żywocie stworzenia.

Ty nas oczyść, prosimy; miłosierdzia twego
Niech promień bijąc w serce, odnosi do niego
Ku tobie jasny odraz (odbicie) *chwały i miłości*,
O Panie, nasza chwała, nasza szczęśliwości!
(Pieśń I.)

a kończy myśl swoją:

Wiekuiście mądrości, Boże niezmierzony,
Który wszystko poruszasz, nie będąc wzruszony,
Wściągasz prawem aniołów wojska niezliczone
Tak, że muszą z twą wolą chcenia mieć złączone;
Opaczystym obłokom poczyniłeś tory,
W których błądzić nie mogą, zgodne wiodąc spory.

Niedziw, żeś dał naturze prawo tak chwalebne,
Że nie *władnie* odstąpić od twej wiecznej woli.
Gdyż ty w prawie dobroci trwasz i dobrej woli (*tak*).

Proch podnóżka twojego, czemuż wolność mamy
Tych ustaw ustępować, w których żywot znamy,
Do tego przystępując, co śmiertelnie szkodzi?
Dales rozum: przecz a nas fortuna się rodzi?

Porzuć straszne pioruny, zatrać i przygody,
Którymi znać nam dawasz, że chcesz z nami zgody,
A utwierdź wolność chceniu, której nie zna użyć:
Wolim w świętej ojczyźnie tobie wiecznie służyć.
(Pieśń II.)

Zastanawiająca, zdumiewająca jest ta pieśń ostatnia. Filozof-poeta lubuje się widokiem rozrzuconych na niebie obłoków, którym Bóg powyznaczał drogi. Z niedowierzaniem też pyta się sam siebie: dlaczego Bóg, istota wielka niezmierna i niewzruszona, przyczyna wszystkiego stworzenia i życia, wymaga od ludzi, aby go chwaili? Pyta się samego siebie: dlaczego Bóg, pragnący zgody z człowiekiem, zawiesił na firmamencie gromy?

„Porzuć straszne pioruny, którymi znać nam dawasz, że chcesz z nami zgody, a utwierdź wolność *chceniu*“. Oto najskrajniejsze, anti-chrześcijańskie marzenia poety! Oto granica, poza którą wzbil się umysł filozoficzny młodego Mikołaja. Tu poraz pierwszy nie liczy się on z Pismem Świętym i może z wolą księdza Antoniego, Dominikanina z Przemyśla. Nie znaczy to jednak, aby miał zerwać z „panującym Kościołem“ lub z Bogiem. On zawsze czci go i kocha i do końca śpiewa „O wielmożności bożej“, chwalać wszystko, co z Bogiem przestawa. U niego zawsze najwznioślejszą poezją są psalmy Dawida, bo on

.... Pana śpiewa, który niebo sprawił,
Dał światło gwiazdom i jedne zabawił
Na miejscu, drugie jego wdało *chcenie*
W rządne błędzenie.

Ogniem świat przykrył; dzierżąc ziemię wody;
Różnym naturom kazał użyć zgody,
Temż zwierz, ptaki, ryby, drzewa z zioły
Trzyma żywioły.

Trzykroć szczęśliwszy, który ciebie, Panie,
Zna spraw swych końcem i ma *zakochanie*
Wszego bezzładne, tylko w twej wieczności,
W doskonałości.

(Pieśń III).

Tak wzniosłe wyraża się Szarzyński w swojej poezji o Bogu, że doprawdy trudno byłoby go w tem przewyższyć. Porównania są świetne, proste i zwięzłe, i niektóre nawet wprawiają czytelnika w zdumienie.

Nie będę tu poszczegóło rozpatrywał tych porównań, ale zwrócę uwagę na ważniejsze. I tak, z ostatnich przytoczonych tu wierszy, gdzie powiada, że Bóg niebo sprawił, dał światło gwiazdom i niektóre zatrzymał na miejscu, a innym wyznaczył drogi po których wiecznie błądzą, jest rzeczą świetną. Lub „ogniem świat przykrył“, czyli promieniami słonecznymi świat ozłocił, także stanowi niezrównany zwrot poetyczny i t. d.

Młody Mikołaj nie poprzestał na psalmodyi i na religijnych pieśniach: chciał spróbować sił na innym polu, jakiesmy to już mówili, chciał wystąpić jako poeta historyczny opisowy, jako epik wysławiający szlachetne czyny ludzi męźnych. Rozpatrzmy się tu w tych opisowych jego poezjach.

Pieśń VII, wyśpiewana na cześć Stefana Batorego, świeżo wówczas ogłoszonego królem polskim, stoi na czele tej historyczno-opisowej poezji.

Mało było tak dzielnych wodzów i zdolnych królów w Polsce jak Stefan Batory; mało jednak było tak nieszczęśliwych i nie lubianych przez polskich możnowładców, jak on.

Dziwne fatum przywiązało się do jego osoby. Umierając nagle w Grodnie, leżał sam u drzwi martwy może przez dwie godziny; nie było przy nim nikogo. Majstrzy na metalowej trumnie odleli mu Nerona patrzącego na pałacy się Rzym; miało to być przypomnienie Gdańska. Dumna królowa, Anna Jagielonka, wykończając kaplicę Jagiellońską, odsunęła Batorego precz od swojej rodziny królewskiej. Nawet historycy i poeci dotąd najmniej zajmowali się Batorem. Nie ma on swojego śpiewaka, i dlatego przytoczę tu tę jedną z nielicznych pieśń pochwalną w całości, aby choć przypomnieć sławę wielkiego króla, chociaż autor więcej nacisku kładzie w niej na religijną stronę i dzieła niezwalzonego Batorego, niż na zwycięstwa odniesione nad buntującym się Gdańskiem, Hordą dzikich Tatarów, Turków i innymi.

Dalsza poezja opisowa ma już mniejszą wartość. Pieśń poświęcona Fryderykowi Herburtowi, który pod miasteczkiem Sokalem w roku 1519 zamordowany został przez Turków, jest daleko słabsza.

Zdarzenie to tak opisuje Bielski:

„Tę porażkę, upór ludzi młodych, a niesłychanie starszych uczyniło, a między innymi Frydrusza Herburtu w tem winowano, który, że był serca wielkiego, był chciwy dziwnie do potkania; jakoż i na ten czas, widząc upadek naszych, nie się nie strwożył, a żywot swój za nic sobie ważąc, rzekł: „Boże, tego nie daj, aby ja przy mej miłości braci — gardła nie mógł dać!“ Rozpuściwszy tedy koń ze wszego skoku, dobrowolnie, jako jeden Kurcyusz rzymski, skoczył między nie z drzewem, bił się z nimi, póki mógł władać sobą, a tam od Tatarów rozsiekan“.

Fakt, doprawdy, nadający się do poezji opisowej, ale twórczości poetycznej, fantazyi i intuicji zbrakło młodemu poecie. Stworzył on bohatera, ale nie potrafił go przybrać w szaty wiekowe, w sukienkę misternej ballady, ani opowieści. Oto lepszy ustęp:

Tam zaś, by tygrys, gdy swe baczy dzieci,
Między myśliwcy, choć tysiąc strzał leci,
Wpada wpośrodek, nie o ratunek dbając,
Ale o pomstę — szkodzi i konając.
Taki był on mąż; widząc swój lud zbity,
Drugi związany, aż go znamienity
Duch ze krwią odbiegł, padł; krzyknął bezbożny
Zastęp i wieżenie. Lecz był okrzyk różny.
O cny rycerzu! nietylko szczęśliwie
Duch twój z wielkimi bohaterzy żywie —
I tu, dokąd Bug cichy wody swoje
Niesie do Wisły, dotąd imię twoje
Trwać będzie w ustach ludu rycerskiego,
I rzecze człowiek serca wspaniałego;

Z lepszym ojczyzny szczęściem, Wieczny Panie,
Racz mi naznaczyć tak prędkie skonanie!

Drugiemu podobnemuż męczennikowi poświęca Szarzyński następną pieśń swoją: Strusiowi, zabitemu na Rastawicy.¹⁾

O tym Strusiu mówi Paprocki w swoich *Herbach* na stronnicy 542: „Stanisława Strusia pamięć nasza znacznie niesie, który na Rastawicy z nieprzyjaciół długo a męźnie czyniąc — zabit. Co ten wiersz Mikołaja Sępa, z domu Junosza, młodzieńca uczonego, opowiada“.

W pierwszym wydaniu rok śmierci opuszczono; może to będzie 1520, w którym Jakób Strus zginął, jak świadczy Bielski, nie wspominając miejsca, w którym poległ. Starowolski w swoich *Sarmatiae bellatores* mówi o Strusiu nieznaczając daty, kiedy twierdzi, że pod Woronowem został zabity; bitwa bowiem Woronowska zaszła w roku 1507. Ale trudno pogodzić różnicę imion Stanisława, bo go z tem imieniem wspominał Paprocki, i Jakóba, którego tensam Paprocki synem pierwszego być mieni. Oprócz wzmianki u Gwagina (str. 157 wydanie Bohomolca) pod rokiem 1575, który Jakóba i Jerzego Strusiów, jako dzielnie potykających się pod Sieniawą z Tatarami przywodzi, nigdzie w kronikach naszych, przed rokiem 1582, nie spotkaliśmy wspomnienia o śmierci innego Strusia na polu chwały.

Oto wiersz opisujący to zdarzenie; możnaby powiedzieć o nim to, co i o ostatnim wierszu:

Wolał od strzał zginąć pohańca zdraдного,
Niż tył swój pokazać sprośnie oczom jego.
A gdy mu ktoś radził głupie sprzyjałiwy,
Aby jako drudzy zbiegł w chwili złośliwej —
Rzekł: „Ty folguj czasom — chceszli — a ja mojej
Sławie będę godził. Nietylko we zbroję,
Jest śmierć i na łożu. I tak pierzechliwego
Śmierci grzbiot jest odkryt, jak piersi śmiałego...“

* * *

Mówiliśmy już o duchowym usposobieniu młodego poety, starając się razem zająrzeć do głębi jego serca i wyczytać co się tam działo; mówiliśmy już i o wpływie na kształtujące się pojęcia Sępa: teraz więc nie pozostaje nam nic więcej, jak tylko zatrzymać się nad krytycznym rozbiorem jego poezji i przypatrzeć się nadanej przez poetę formie tym utworom.

Jedną z bardziej artystycznych form poezji, jedną z trudniejszych, jest niezawodnie forma sonetu. Przepisy, które stworzyli dla tego rodzaju poezji Włosi, zobowiązały świat cały. Poczynając od najpierwszego Fra Guittone z Arezzo, twórcy sonetu w XIII wieku, forma ta rozpostarła się po całym świecie.

Nie będę tu przypominał układu sonetu, zaznaczę tylko, że forma ta w dwóch pierwszych, 4-o wierszowych, zwrotekach dwoma tylko rymami się obywała, ostatnie zaś dwie zwrotki, trzywierszowe, mogły mieć albo dwa albo też trzy rymy. Głównym też warunkiem każdego sonetu był rytm. Brzmienie jego powinno było rozlewać się harmonijnie i melodyjnym śpiewem czarować duszę słuchacza.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Wiedeń, w Sierpniu 1881 r.

Czem i jak Wiedeń się bawi w lecie. — Prater. — Okolice. — Styrya. Goście serbscy, czarnogórscy, hawajscy. — Wieści z Czarnogórza. Zajęcia poważne. — Sprawozdania z działalności stowarzyszeń kobiecych. — Ognisko domowe. — Zakłady muzealne. — Kolonie wakacyjne. — Wędrówki studentów po kraju.

Jeżeli prawdą jest, że towarzysze i wspólnicy

1) Rastawica, rzeczka na Rusi.

niedoli są jedyną pociechą, to ostatecznie można by się w każdym wielkim mieście pocieszać, nawet podczas tak wyjątkowego lata, jak obecne. Częstka ludności tylko wyjeżdża, więc reszta to towarzysze niedoli. W Wiedniu umięją się oni pocieszać znakomicie, tak, że są zupełnie zadowoleni, a liczni, ciągle się tu przesuwający, cudzoziemcy, widza to zadowolenie na wszystkich obliczach; wpływa to i na ich humor i ztąd posiada Wiedeń rozgłos najweselszego miasta, a ludność najweselszej w całej Europie. Jest ona rzeczywiście wesoła aż do lekkomyślności, niewybredną w zabawach ściśle tradycyjnych, a tak chciwą rozrywki, tak do niej nawykła, tak nieliczącą się z jutrem, że ostatni grosz musi być w niedzielę i święto wydany. Ta gorączka rozrywek wspólną jest wszystkim warstwom, a oddziaływa na cały porządek domowy; ogół kobiet hołduje próżniactwu, lenistwu, nie czytuje nic prócz gazet brukowych; gospodarstwa nikt nie prowadzi; co tylko można, kupuje się gotowe; w domu wieczorem nikt nie siedzi, nikt też nie przyjmuje; znajomi i obcy bawią się bez etykiety i zenady w ogrodach i restauracjach. Zobaczmyż: czem się ta ludność bawi?

Najpierw gazetą; każdy i każda, kupeczyk i flaker, przekupka i dama musi ją mieć, swoją ulubioną, dwa razy na dzień. A w niej co? treść wszelkich kurjerów: plotki, wypadki, skandale, sprawy sądowe i giełdowe. Polityka na ostatnim planie, na pierwszym zaś *inseraty*; — to jest drobne ogłoszenia wszelkich sprzedaczy i kupna, poszukiwanie miejsc, zarobku a przedewszystkiem poszukiwanie kandydatów i kandydatek na żony i mężów i korespondencye poufne, miłosne pod znakami i symbolami. Te ogłoszenia, które dały już krociowy majątek kilku dziennikom: to namiętność Wiednia i zwierciadło usposobienia ludności. Wszelkie oferty są powiększej części oszukiwaniem, a przecież ciągle ludzie się na nie łapią, tak jak w bazarach *tanich*, groszowych, zawsze pełno kupujących. Te ogłoszenia są przedmiotem bezustannego zajęcia; dziennik miejscowy, któryby ich nie miał, nie miałby wcale czytelników.

Dzienniki te są rozrywką podczas dnia, popołudniu w ogrodach, aż do wieczora. Wieczorem co żyje wyrusza za miasto, a w święto ta emigracja trwa dzień cały.

Celem wycieczek są okolice Wiednia, bardzo piękne, ale zeszpecone zdzierstwem, odarte z uroku wyzyskiwaniem i najnieznośniejszym rzępolem katarynek. Drożyzna w Wiedniu jest nierównie większa niż w Paryżu, a za miastem, w miejscach willedziatur, jeszcze większą. Lecz wszyscy się z tem zgadzają, nikt nie narzeka i płacą n. p. za 1/2 mleka słodkiego 12 centów n. b. mleka fałszowanego. Byłe piwo mieli dobre, choć równie drogie, o resztę nie dbają.

Głównym celem wycieczek jest tu Prater, park rozległy nad Dunajem, większy i piękniejszy od Lasku Bułońskiego, tylko mu braknie stawów i wodotrysków. Tutaj tłumy od rana do nocy pieszych, jezdnych i powozów. Są trzy główne aleje: Wurstelprater, Volksprater i Noble. Pierwsza i druga wiodą do dawnych budowli po wystawie zostawionych, do rotundy, w której odbywają się coroku targi zbożowe i różne wystawy. Po obu stronach pobraża drogi i wszelkie boczne przejścia są zapelnione piwiarniami i rozrywkami dla ludu. Smutne to rozrywki, bo znanadto puście, czeze. Najwięcej strzelnic pistonożych, skrawo, na wabika, przystrojonych. Każdy strzał wywołuje jakiś figiel, a strzały w teatrzyku czarodziejskim trafiają n. p. w ramię dam i przyspiłają kwiaty, które niosą. Mnóstwo karuzeli w powozikach, na koniach, osłach, lwach, żyrafach i na welocypedach, idących po szynie, huśtające się okręty, a wszystko wśród ogłuszającej muzyki. Muzeum t. z. anatomiczne obliczone jest na zgorszenie; pokazują też tam wszelkie narzędzia torturowe w zastosowaniu. Akwaryum, wcale nieszczęgólne, panoramy ohydne, bohomazy, które kłamią; lecz stanął już nowy ogromny gmach dla nowej panoramy. Ludek najnaiwniejszy lubi się ważyć i rozkoszuje się *Wurstlem*. Ten specjalny i lokalny wyraz oznacza produkcję mimiczno-jowialne. Są one najpierwotniejszej

prostoty, gminne, trywialne, polegają na figlach fizycznych, przerzucaniu, bijatyce i t. p.; lecz są bezpłatne, byle piwo odchodziło. Widzowie na talerzykach rzucają czasem, co się podoba. Niemniej ulubione są wurstle maryonetkowe, zupełnie nasza szopka, oczywiście z figur miejscowych. T. z. teatru są w Praterze dwa: Fürsta, gdzie dają possy czeze, głupie, a bardzo dobre sztuki łamane — i Drakstera halla, gdzie ci sami artyści i artystki jednego wieczora grają possy, robią łamane sztuki i tańczą bolera. Wszędzie ścisk przez całe lato. Trafiają się i tu osobistości wielkiej zręczności, n. p. tego roku czterech braci podobno Phoites, którzy są z kauczuku na sprężynach, i Nowak, który jest biegłym muzykiem i dlatego popisuje się grą na szklankach i kieliszkach zwilżoną dłonią, pałeczkami na szklanej harmonijce i na talerzykach porcelanowych, na szczotce od zamiatania, na której są dwie struny, na trąbce dziecięcej drewnianej, tańczy, grając miechem na okarynie, nareszcie na fleciku blaszanym — nosem. Dodawszy do tego czarę węgierską z muzyką cygańską, roznoszących ser, salami, salamucci, muzyki wojskowe w kamienicach przy alei Noble, restauracyą Sochera na sztucznie usypanej górze, miejsce dla uczt bankierskich i arystokratycznych, nieprzerwane szeregi pojazdów: oto i wszystko, co daje Prater. Rozumie się, że dla przechadzki są cieniste ulice, łąki, wszędzie wodociągi do zalewania kurzu i ławki dla wypoczynku. Wycieczki, tak do Prateru, jak to Schoenbrunn, Hietzing, Dornbach, Doebling, Meidling, Kahlenberg odbywają się omnibusami, tramwajami i małymi okrętami — mouches — a kolejną do Laxenburga, Vöslau, Baden, Semmering. Wszędzie miejscowości przyjemne; lecz niechaj się tam nikt nie udaje w niedzielę i święto, bo wtedy cały Wiedeń tam się przenosi, tak, że powietrza nawet braknie, a w wagonach stać trzeba. Letnie mieszkania w tych miejscowościach i naokoło nich są już za drogie i za nadto miejskie. Zaczynają już przeto śmielsi puszczać się nieco dalej, w okolice pięknego Semmeringu, gdzie jest jeszcze prawdziwa i wspaniała natura. Od Semmeringu aż do Hradca, stolicy Styrii, to ziemia obiecana dla wytechnienia, śliczny kraj, dosyć powiedzieć Alpy, rzeki i doliny w Alpach, aż do doliny hradeckiej, gdzie zgóry Schlossberg stojącej w środku miasta widać naokoło alpejskie, krańskie, styryjskie Alpy, i gdzieś daleko aż do Tryestu. Alpy nie są tak dzikie, jak Tatry, przystęp wszędzie ułatwiony staraniem gmin i towarzystw alpejskich; są i jeziora, a są też, czego u nas niema, piękne ruiny. Kolej południowa buduje na jednym szczycie hotel — ba, bo też jest kolej, idzie przez Alpy, są wzdłuż niej fabryki, winnice... Dajcież nam kolej przez Tatry, a będą niewątpliwie ściągali i tysiące zagranicznych turystów i powstaną dla nich gospody. Te okolice styryjskie będą z każdym rokiem gęściej się zaludniać w lecie, gdyż najbliższe okolice Wiednia są już i zaciśnięte. Na tej linii styryjskiej, tysiąc kroków od stacji kolejowej, leży Fürstenhof, słynny zakład hydropatyczny dra Czerwińskiego.

Pomimo wycieczek w mieście wszelkie lokale publiczne zawsze pełne i do nich też tłumy wieczorem z wycieczek wracają. Oczywiście: mowa tu o ludzi, nie o owych, jak to mówią, pierwszych dziesięciu tysiącach, giełdowych i arystokratycznych, które mają na całym świecie jednakie obyczaje — a tu w lecie punkt zborny w Volksgarten wieczorem, ilekroć gra kapela Straussa.

Nie brak też innych rozrywek: domy się wala, a gazetki podają biografie uszkodzonych; fałszywe hrabiny popełniają oszustwa; kilka zakładów obłożonych bez przerwy; wyścigi pływaków i pływaczek. Te ostatnie, poraz pierwszy tego roku, były wypadkiem dnia i będą powodem do żeńskiego sportu pływaczego.

Niezmierną rozrywką dla ludności są przejazdy różnych panujących. Na każdym kroku towarzyszą im tłumy i cały dzień stoją przed ich mieszkaniami — jakby istotnie te setki gapiów nie miały do roboty. Gapią się na trzech panujących. Książę serbski Milan i żona jego Natalia są bardzo dorodną parą. Książę jest energiczny, zdolny, pracowity, dokonywa ogromnych przemian

w Serbii; od ostatniej wojny, a raczej odzyskania zupełnej niepodległości, po wiekach niewoli, robi tam teraz cywilizacyą siedmiomilowe kroki. Oświata się szerzy, porządki wszelkie zaprowadzają, kolej się budoje; dzieje się to, o czem marzył lud w pieśniach swoich. Nowa zupełnie doba dziejowa zaczyna się dla południowej Słowiańszczyzny. Obok Serbii Bułgaria i Czarnogóra. Książę bułgarski, półkrwi polskiej, pół niemieckiej nie może się dotąd zagospodarować. Bułgaria w połowie dopiero wyzwolona, ciągle wre; książę i rząd chwileją się; scierają się stronnictwa: jedno dąży najpierw do wyzwolenia całego kraju, drugie chce w wolnej już połowie pierwszej siły wytworzyć.

Nadzwyczaj sympatycznym jest książę czarnogórski Nikita. Prowadzi on dalej dzieło reformy przez ojca jego rozpoczęte: pierwsze to dopiero działanie ustawodawcze w Czarnogórze na sposób dzisiejszy europejski. Książę, człowiek wykształcony, z najlepszą wolą, energiczny, znajduje dzielne poparcie w małżonce. Jestto kobieta rozumna, bardzo przystojna, a matka już dziesięciorga dzieci. Odbył w tym czasie podróż po Czarnogórze hr. Jan Stadnicki poseł sejmowy, więc zanim sam wrażenia swoje ogłosi, zapiszę tu niektóre wieści z tego kraju. Są one, zdaje mi się, na miejscu, bo są nowe, a potem w porze letniej stanowią niejako nowiny z wycieczki.

Czarnogórze pod względem topograficznym nie ma nic podobnego w całej Europie: skały pionowe, między nimi przepaści, niedostępne lasy, bystre wody. Miejsca dla cywilizacyjnej Cerery, dla rolnictwa, zupełnie braknie. Zaledwo małeńkie, dwusążniowe kawałki ziemi splukanej obwarowane są murami i na nich jedyna uprawa. Na stole księcia jest *własne* masło wielkim i rzadkim specjałem. Polowanie, rybołówstwo, sprzedaż wyrobów z wełny owczej: to jedyne sposoby do życia dla tego bardzo biednego a bardzo bitnego ludu. Nie był on nigdy podbitym, a bił się przez wieki, urządził ciągle wyprawy, łupieżę, zabierał żywność, bydlę, toczył krwawe walki o wody i pastwiska, bez których musiałby uleść głodowi. Po ostatniej wojnie otrzymało nareszcie Czarnogórze Dulcigno z pastwiskami, część jeziora Skadarskiego, część rzeki Dryny — warunki życia. Zaczyna się też robota cywilizacyjna. Dotąd wiodła jedna tylko droga do Cetynia, w skałach kuta, a w całym kraju były tylko dwa pojazdy; obecnie kuja drogi w różnych kierunkach, hodowla bydła się wzmacza, handel rozszerza, może przez nawodnienie i ziemi trochę przybędzie, aż kiedyś uzyskają całe jezioro i całą Drynę z ujściem, i górale staną się poczciwymi marynarzami i kupcami. To ich ideały. Teraz potrzebują spokoju; w ostatniej wojnie stracili 5% ludności, wynoszącej 200,000. Lud rosły, bitny, zacięty, chciwy, bo biedny, i przez to jeszcze nieco zdemoralizowany (tożsamo i w Serbii). W każdej chwili mogą postawić 25,000 ludu niezwyciężonego, bronionego przez niedostępne skały, uzbrojonego w karabiny Wernldla, których im Austrya dostarczyła. Forma rządu jest taka, jaką była u nas za Bolesława Wielkiego. Tutaj można ten ustrój studiować. Książę-wódz, pan nieograniczony, ale obok niego rada dwunastu wojewodów; on ich mianuje; ale oni jego władzę ograniczają. Książę odbywa sądy, siedząc pod drzewem, jedynym w Cetyniu, obok niego rada i synek, chłopiec tak cudny, że żaden malarz nie piękniejszego nie wymyślił. Stolica jest wioską małą — kilka domków; rezydent austriacki mieszka z rodziną w jednym pokoju. Prawa zwyczajowe zostały już spisane; praca ta trwa dalej. *Vendetta* jest surowo ściganą. Wszystkich urzędników mianuje książę, ale zawsze tych tylko, których ludność w danym miejscu mieć chce. Dochód państwowy płynie z monopolu soli i tytoniu, ale tylko długokrajowego. Sól otrzymuje rząd od przedsiębiorców włoskich. Byłoby bardzo pożądanem, żeby nasi panowie, którzy znają już dobrze zachodnią Europę, a wyprawiają się nieraz i do Afryki, odbywali podróże bardzo ciekawe, do Czarnogórze, Serbii; byłby wieloraki ztąd pożytek.

Mielimy w Wiedniu i brunatnego króla: Kalakę z wysp Hawajskich. Jest on władzcą nad 70,000 brunatnej ludności, która raptownie wymiera. Do swojej listy cywilnej, wynoszącej

40,000 dolarów, Kalakua dołącza jeszcze dochód z hotelu zajezdnego, który umyślnie na ten cel zbudował. Wychowany przez misyonarzy angielskich, angielskim językiem mówi i uysł swój z formami cywilizacyi naszej oswoił. Kalaku najwięcej Wiedeńczyków zabawił. Dwór tułszy oddawał mu honory królewskie, jednak cesarz z braku czasu nie chciał go przyjąć w Ischl. Hawajczyk zemścił się zato: podeptał etykietę, pojechał w noc do Prateru i tam pomiędzy ludem w kawiarnianej sali tańczył kilka godzin z ładną Wiedenką, która mu się nawinęła, a mówi poangielsku. Lud bił brawo, cieszył się, widział w tem tryumf pojętej a zaraźliwej wesołości wiedeńskiego życia. Dzienniki, które opisały ten „wypadek“, nie mogły nastarczyć nakładowi.

(Dokończenie nastąpi).

RUCH MUZYCZNY.

Występy Władysława Mierzwińskiego na naszej scenie były nieprzerwanym szeregiem tryumfów i owacyj. Artysta, obdarzony fenomenalnym głosem, jakiemu równego może nie ma dziś w Europie, posiada oprócz tego wiele zapału i jest niezłym aktorem, oprócz tego jest naszym rodakiem, i pozostał wiernym, tak swemu nazwisku, (którego nigdy na innych scenach niezmieniał) jak i społeczeństwu, wśród którego się wychował, a dla którego uczynił owiele więcej, niżeli mógł być obowiązany; bo dla artysty, któremu każdy wieczór setkami rubli się opłaca, poświęcić swój talent trzykrotnie na cele dobroczynne, wskutek tego stracić parę tysięcy rubli za proponowane przez dyrekcją dalsze występy: to prawdziwe już, istotne poświęcenie. Warszawa nie tylko artystę, ale i człowieka szlachetnego uccić w Mierzwińskim pragnęła, i dlatego owacy miały ten charakter serdeczny, który je od innych odróżniał.

Jako artysta sceniczny, Mierzwiński odtworzył role następujące: Raula w „Hugonotach“, Roberta w „Robercie Dyable“, Arnolda w wyjątkach z „Wilhelma Tella“, oraz Vasco de Gammy w 1-m akcie „Afrykanki“. Jako prawdziwy tenor *di forza* nie czaruje on efektami pieściwemi, raczej porywa ognistym zapałem, który tryska jeszcze bardziej z olbrzymiego głosu, i z *woli* artysty, niżeli z natury bogato w artyzm uposażonej. Pierwszy występ w „Hugonotach“ dał nam już słyszeć mnóstwo owych fenomenalnych nut wysokich (c, cis), których artysta używa, ile mu się podoba, a nawet i nadużywa cokolwiek. Co zaś w jego głosie najbardziej cenić trzeba, to medium, które jest tak wspaniałe, jak u najlepszego barytona. Owe najwyższe nuty nie mają właściwie tej potęgi, jaką im nadają niekiedy inne tenory (np. Marini); ale jego *la i si bemol*, a szczególnie *la*, to najpiękniejsze nuty jakie na kuli ziemskiej istnieją. Postać Raula pełna godności — ale nie nadzbyt elegancka; w grze dosyć zapału, niekiedy miarkowanego z powodu pewnej chwiejności w rytmie, wskutek której artysta dobrze uważać musi na battutę, aby się nie zgubić w *ensemble*. Scena pojedynku i duet w 4-m akcie były punktami kulminacyjnymi, tak głosu jak i talentu artysty. Frazowanie szlachetne, cieniowanie uczuć wierne i prawdziwe. Szkoda, że opuszczony był cały akt 5-ty — podobno tak śpiewają w Londynie; my tego „układu“ bynajmniej nie chwalimy. W *Robercie Mierzw.* rozwinął najwięcej artyzmu; w Sycyliance *cadenza*, szalenie trudna, i powrót do tematu wywoływały zawsze huragany oklasków. Na benefisem swem przedstawieniu śpiewał M. jeden akt z *Afrykanki* — po francuzku. Śpiewał z zapałem większym niż kiedykolwiek, ale słysząc ten akt „Afrykanki“, mogliśmy zrozumieć jeden przynajmniej z powodów, dla których powodzenie znakomitego tenora na scenie Wielkiej Opery Paryskiej tak długo zupełnie było niemożliwem, a i teraz nie jest bezwarunkowem. Oto wymowa francuzka artysty wiele pozostawia, dziś jeszcze, do życzenia, a na tym punkcie Francuzi są aż do zbytku drażliwi. Po „Afry-

kance" śpiewał M. arya z *Wilhelma Tella* przesłuchanie, — widać było już po *Andante* jak to było starannie wystudiowane. W *Allegro* rozumie się, że olbrzymio trudne zakończenie na *h — c*, zrobiło swój zwykły efekt. Ale po tej arii inne czekały artystę tryumfy: oto artyści teatru, z panią Dowiakowską i Fillebornem na czele, wręczyli mu publicznie wspaniały wieniec przy grzmiącym tuszu orkiestry. Artysta godnie się za tę owacyą wywdziękował: oto w odpowiedzi zaśpiewał arya „Szumią jodły“ popolsku, — zaśpiewał ją wspaniale, a zakończył górnem *c — h — a*. Na trzech koncertach z celem dobroczynnym śpiewał artysta jeszcze arya „Cujus animam“ ze *Stabat Mater* Rossiniego, oraz, nieodznaczający się oryginalnością, ale wdzięczny Mazurek Münchheimera: *Jey usteczka*, gdzie znów, kończąc na wysokiem *des*, dwukrotnie powtórzonem przy wyrazie „słowo“, zdumiewał publiczność, lubo w drobnej piosence, takie akrobatyczne figle nie są bardzo stosowne.

Zdanie nasze o Mierzwińskim sformułowaliśmy oile można było obiektywnie, t. j. nie dając się unosić zbyt do uczucia niewysłowionej przyjemności, jaką śpiew jego nas przejmie. Mimo więc wykazanych pewnych niedostatków jest to niezaprzeczenie jeden z najwybitniejszych dziś europejskich tenorów. Szczęśliwym trafem, jednocześnie gościł w Warszawie również pierwszorzędną tenor Masini, i publiczność miała sposobność robienia porównań, co zwykle bardzo czynić lubi. Obaj artyści należą jednak do tak odrębnych światów, że porównywanie ich do samych tylko doprowadza kontrastów. Głos Masiniego w porównaniu z tubalnym organem naszego rodaka może się nazwać *malym*; ale w tym *małym* świecie obraca się artysta z niezmierną swobodą i wdziękiem; ma on śliczne nuty wysokie, ma nawet i *cis*, ale umie czarować na każdej nucie uczuciem (czyli raczej gracyą), cieniowaniem, przejściami niespodziewanymi. Artysta z niego skończony; nie jest on tak dystygnowany i poetyczny jak Mario, nie ma jego czarujących, łzawych tonów, ale w każdym razie należy do rzędu śpiewaków których się długo nie zapomina i zawsze słyszeć pragnie.

Dolina Szwajcarska zamknęła czteromiesięczny cykl swoich koncertów. Obecnie pan Noskowski będzie mógł skierować całą swoją działalność ku Towarzystwu Muzycznemu, o którym, prawdę mówiąc, nie zapominał nigdy. Pracując bowiem nad wydoskonaleniem orkiestry, obmyślając środki i plany, aby ją przez zimę w Warszawie zatrzymać, dyrektor miał właśnie Tow. Muzyczne na myśli. Dla niego-to przecież ta orkiestra ma pozostać, na jego-to wieczorach ma ona rozwijać swoją artystyczną działalność, przez co raz przecie Towarzystwo stanie na stopie odpowiedniej swemu stanowi. Projekt ten potrzebuje tylko znacznego powiększenia liczby członków Towarzystwa, które musi zwiększyć swe fundusze, aby zyskać możność utrzymania orkiestry. Niewątpimy, iż członków przybędzie, zwłaszcza, że projekt, jeżeli będzie przyjęty w całkowitej swej osnowie, da tymże członkom bajeczne korzyści; ale o tem pomówimy innym razem, gdy cała sprawa wyjdzie z fazy wątpliwości, a stanie się mniej więcej określonym faktem.

Lecz spostrzegamy, że nie wspomnieliśmy wcale o pani Repetto, śpiewaczce, która razem z Masinim występuje w teatrze. Pani R. znaną nam jest od roku zeszłego jako dobra śpiewaczka, a z przyjemnością zaznaczamy, że obecnie śpiewa z większym jeszcze zapalem i artyzmem i zaszczętnie się wywiązuje z roli partnerki Masiniego.

Jan Kleczyński.

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, w Sierpniu 1881 r.

(Dokończenie).

To próżne oczekiwanie Vallès'a, z kieszeniami pełnymi pistoletów—ten, jakiś Collinet (nazwisko

i osobistość zdaje się realna), który, nie należąc wcale do spisku, podejmuje się, tak, przez amatorstwo, przez koleżeństwo, przeniesienia na miejsce walki całego, straszego arsenału studentów; ten professor filozofii z czerwonym nosem, któremu leży na sercu niedopita butelka z dnia 2 Grudnia, nareszcie to smutne niepowodzenie: „bo nie byli gotowi“, i ostateczna rozsyпка spiskujących kawalerów, którzy wyglądają tu na prawdziwych żaków, złapanych na gorącym uczynku przez strasznego dozorcę: są to karty prawdziwej, wyższej komiczności, jakby z jakiego *Gil Blas* wycięte. Trudno zgadnąć, jaki miał zamiar autor, gdy pisał to opowiadanie; ale potrzeba przyznać, że Spisek Opery Korwicznej widzimy tu jako najniebezpieczniejszą i najgłębszą farsę; jako sposób, ćwiczenia niedoświadczonej młodzieży w praktykach, potrzebnych dla tajemniczych planów, pewnych osobistości, które tu zowią *Les Malins*.

I oto, ten niby rewolucjonista z natury i z instynktu, czuje to dobrze, i widzi jasno, co-to za strasna blaga ten spisek: „muchy na ogonie słonia!“ On, co, mimo całej pretensyi do polityki, politykować wcale nie umie, jest widocznie zaambasowany i wstydy się tych tajemnic, i tych wykrętów swego towarzysza Rocka (trzeba czytać Rancę). To też, kiedy już wszystko skończone, kiedy spiskowi uciekli z placu, jak prawdziwe żaki—woli on się śmiać i kpić sobie z tego wszystkiego, niżeli odegrać smutną i głupią komedię. Wówczas-to odzywa się w nim ten mimowolny głos prawdy: „Wszystkie moje walki przeciw Cesarstwu skończyły się okropnym bólem krzyża i pokaleczonemi aż do krwi nogami (od próżnego latania po bruku). Głupie to i zawstydzające, jakby znużenie osła“. *Les Malins* zbywają to milczkiem i każdą farsę zapisują na rachunek przyszłości.

Trzeba posłuchać Vallès'a, kiedy sobie podkpiwa z Robespierre'a, kiedy chlosta tak zwanych „Olbrzymów“ z 1793 r., kiedy się użala na to, iż w republikańskim stronnictwie nie wolno jest nawet naśmiać się dosyć. Trzeba widzieć, jak się rumieni, kiedy jeden ze spiskowych zapytuje go: — Czy jego „ludzie“ są gotowi. Jego ludzie! Boże miłosierny! Pięciu czy sześciu studentów, młodych, tłusciutkich, z różowymi pyskami, i których on zna, zaledwie z widzenia tylko.

Oczywiście, braknie zupełnie owego respektu, zamiłowania tradycji i dyscypliny republikańskiej, temu wrażliwemu poecie, który się spowiada głośno z tego, co czuje. Tak-to, niechęć zapewne, okrył on śmiesznością ów sławny *Spisek Opery Komicznej*.

Te wspomnienia młodości, te awantury i donkichoterye spiskującej studenteryi, zapełniają stronę epizodyczną książki. Powiedzmy teraz: jaki jest cel jej główny? i czego chciał w niej dowiedzieć autor? *Bakalarz*, jest to pewien rodzaj manifestu, nakształt Jana Jakóba Rousseau'a. Jest to deklaracya wojny, szalonej i dzikiej, jakby wojna Komuny, przeciw wychowaniu uniwersyteckiemu, rządowemu. Miotający się we wściekłości *Bakalarz*, wyrzucony na bruk stolicy, bez sposobu do życia, bez rzemiosła, to buntownik, *nieregularny* socyalista, szukający swobody życia i bytu, walczący przeciwko wymarzonej hańbie i cierpieniu, na jakie wrzeczono zle urzędzenia skazują naszą „zestarzałą już społeczność, ulegającą nawykowi i chylącą się potulnie pod biczem wiekowej rutyny“.

Jedną rzecz tylko widzi p. Vallès w rewolucyi: tryumf *małych i biednych*, jak ich nazywa autor. Chociaż nie są oni, ani mniejsi, ani biedniejsi od innych, świat przecież do nich tylko należy. Dlaczego? o to się p. Vallès nie pyta. Domaga się *Rzeczypospolitej ulicznej*, niby z wielkiej czułości dla ludu, jakgdyby ten lud był tylko jakąś, wałęsającą się, koczującą hordą. Wszystko to doprowadzi jedynie braku zastanowienia i równowagi w mózgu. To też i talent pisarski, jest jakby rodem z ulicy, pełen scisku, hałasu i blasku, niby wiecznie siedzący na rynku. Istnieje rzeczywiscie, pewne powinowactwo pomiędzy usposobieniem artystycznym Vallès'a a niesfornością ulicznego tłumu; pomiędzy książką a chwilą politycz-

ną, w której żył jej autor. *Bakalarz* jest prawdziwym obrazem, a raczej odbiciem się, owej epoki, w której pomysłany został i dlatego jedynie, obudza słuszną naszą ciekawość. Czuć tam jakby spaleniznę, woń nafty.

Można zrozumieć do pewnego stopnia, że Vallès potrzebował tego rodzaju żywiołów, aby napisać książkę, ale potrzeba, aby i on zrozumiał, że część intelligentna czytającej publiczności nie łapie się wcale na te grubo sklecone sielaka; że w tych, niby-to nagłych, oburzeniach, w tych republikańskich deklamacyach, które autor uważa, być może, za niezbędne dla sprawy, on sam jedynie—on autor—pisarz, coś waży i stanowi dla nas—reszta ramotek, odlatuje jako plewa.

Owa wojna przeciw bakalarstwu—jakże to niepotrzebne i niedzne, pisarza z talentem niegodne wystąpienie! Tyle oburzenia i gniewu nie spowodzi bynajmniej oczekiwaną i żadaną przez autora reformy nauczania. Czy się to będzie nazywało bakalarstwem czy nie bakalarstwem, zawsze uczyć się potrzeba, a więc przejść pewne stopnie nauki i wiedzy. We wszystkim należy zachować miarę. Reforma może być tylko rozszerzeniem granic, nie zaś zupełnym, radykalnym przewrotem, co właśnie przyniosłaby w sobie rewolucya.

P. Vallès, który dzieli świat cały na *Regularnych* i *Nieregularnych*, ani zdaje się domyslać tego, że na tym świecie są *Regularni*, obdarzeni obszerną i wolną inteligencyą, umysłem wyższym i pojęciem jak świat szerokim. Kiedy tymczasem pewni *Nieregularni* są to: pyszałki o ciasnej głowie, zużyci niewolnicy pewnej, napuszonej retoryki, *sui generis*, z czasów próżnującej cyganeryi, demagogowie o zaplesniałych ideach i o kumunolach filozoficznych nieznosnych i wstrętnych jak zjełczala oliwa.

A potem, czemuż-to p. Vallès tak nie cierpi tego bakalarstwa? Wszak to jest formuła tylko, z której przecież można wyciągnąć, co się podoba.

Toś przecież za pomocą tegosamego bakalarstwa p. Vallès pisze książki, nie bez artystycznej wartości; a jeżeli nie myśli, których nauka nie daje — to przynajmniej, często bardzo form tych książek, to jest układ i styl, są nieposzlakowane. A cóżby to była za strata dla literatury francuskiej, gdyby on nie był bakalarzem; gdyby go nie ciągnięto za uszy, gwałtem do grecczyni i łaciny; gdyby ojciec i matka nie zaprzęgli się byli do tego jarzma, przy którym znalazł się kawałek chleba dla dzieci i sposobność do dania im tego pokarmu duchowego, którym i dziś żyją jeszcze, choć zapomnieli, jak i sam p. Vallès, z kąd on im przyszedł. Bo przecież, aby tak pisać jak p. Vallès, trzeba było czegoś się nauczyć.

Są to wszystko materyały do historii literatury współczesnej we Francyi. Wiele z nich zaginie bez żadnego pożytku w przyszłości; czas i wymagania naukowe wyłączą z wielkiej gromady niejedno, co dziś pozornie ma wielką doniosłość; ale i te ulotne kartki korespondencyi zostaną przecież jako świadectwo współczesne. Kiedys cierpliwy szperacz, rzeczy zapomnianych, odnajdzie je i z zdziwieniem postrzeże, że, jak w kalejdoskopie, wszystko tu się zmienia i ustawicznie jedno drugie spycha i zaciera.

Oto zamknęliśmy książkę—pisaną, jakby naftą—a przechodzimy z kolei do dzieła, w którym wszystko oddycha spokojem i, zdaje się, przypomina prawie sielankowe biesiady pseudo-pasterskich marzycieli z drugiej połowy XVIII wieku. A przecież i ta książka, jest to dzieło obudzające żywe zajęcie; i ona też się dotknęła owych *palących* kwestyj—narobiła hałasu—miała i ma powodzenie: widocznie jest dziełem człowieka z talentem. Zkądże taka różnica? Oto ztąd, że natura ma swoją rozmaitość, która się wszelkim systematoma, urządzeniami i prawom ludzkim wręcz opiera; że żyje i tworzy sprzecznością właśnie i nie znosi tej klasyfikacyi naukowej, w jakiej starają się ją zamknąć czasami ludzie niezdolni objąć i pojąć jej ogromu.

Tę książkę, o której mówimy, jest znana dziś publiczności całej, przynajmniej z tytułu, komedya Edwarda Paillerona, we trzech aktach, pod tytułem: *Świat, gdzie się nudzą* (*Le monde où l'on*

s'ennuie). Komedya tę odegrano poraz pierwszy w ostatnich dniach Kwietnia r. b. Z króciutkiej bardzo przedmowy dowiadujemy się zaraz, dlaczego ta sztuka narobiła wielkiej wrzawy w Paryżu:

„Że w tej komedyi znaleziono pewne osobistości (des personnalités), temu się wcale nie dziwię, powiada autor, zawsze się znajdują wskazania osób w komedjach charakterów, jak się odkrywa zawsze pewne w sobie choroby, gdy się czyta książki medyczne“.

Osobiste wskazówki, osobistości, to jest wytknięcie pewnych, znanych osób i ich przywar: oto przyczyna hałasu i powodzenia sztuki, która, ani układem, ani intrygą, ani nawet dialogiem, nie odznacza się wcale, od tylu innych, codziennie tu wyprowadzanych na scenę—komedij obyczajowych.

Świat, gdzie się nudzą—jest to świat niby arystokratyczny paryzki, powiadam niby, bo znajdujemy w nim mieszaninę, jakich tu niemało na każdym spotyka się kroku. W komedyi występuje to, co najlepiej daje się wyrazić określnikiem angielskim *high-life*—w którym się znajdują potrosze wszystkie żywioły, a, jak w tym utworze, żywioł akademicki przeważa. Niema tu wielu osobistości—jak mówi w przedmowie autor—ale jest jedna osobistość, jedna tylko, głośna, hałaśliwa, próżna: profesora filozofii, a odmalował ją Pailleron tak dalece prawdziwie, że sam żywy oryginał poznał się w utworze sztuki i reklamował przeciwko niemu.

Jak powiedziałem, w sztuce niema ani układu, ani intrygi; są tylko powiązane ze sobą, mniej więcej odrębne od siebie sceny, obrazki dobrze naśladowane z tego towarzystwa wyższego, które oprócz zewnętrznego poloru i pewnej wprawy do trzymania się zawsze na wierzchu wielkiego prądu życia paryzkiego—niema nic, ani poważnego, ani głębszego w sobie. Ztąd pochodzi nuda i ustawiczne poszukiwanie nowości dla zapełniania ustawicznie otwierającej się próżni.

W tej chwili tym żywiołem zasycającym wiekiutką próżnią były lekcje filozofii pana akademika profesora Caro. Jest to osobistość, próżna, hałaśliwa, zarozumiała, chociaż nie bez talentu. Komedya Paillerona pokazuje nam rzeczywisty obrazek tego *engouement*, jak powiadają Francuzi, którego przedmiotem pomiędzy paniami młodemi z *high-life'u* jest właśnie bardziej profesor, niż jego wykłady. W obrazie panują barwy jaskrawe, ale w całości utworu niema przesady; to zachwycanie się osobą p. Caro, dość nudną i napszoną, w rzeczywistości dalej nawet zachodzi niż w komedyi.

Sam byłem tej zimy świadkiem w jednym z salonów—niestety! z polskiem imieniem, i wielkiem nawet imieniem gospodarza—gdzie młoda gospodyni „huseczka“ z obcego kraju, prowadząc za sobą z półtuzina pięknych, młodych arystokratów—pół żartem, pół poważnie uklekała przed tym francuzkim pyszałkiem, wołając: „Błogosław nas, ojczel! Najzabawniej, że i Francuz i gąski salony brały tę rzecz poważnie.“

W komedyi Paillerona źródłem ruchu dramatycznego jest tajna miłość młodej dziewczyny do jakiegoś kuzyna; stanowi ona niby nie przewodnią intrygę; ale właściwie w sztuce tej niema ani ruchu dramatycznego, ani intrygi, są tylko powiązane z sobą sceny, w których profesor, Bellac (czytajcie „Caro“) ukazując się w rozmaitych przejawach, i na koniec zostaje ofiarą miłości młodej Angielki. Wszystko to, zgrabne, zręcznie prowadzone, odegrane wybornie przez artystów Francuzkiego Teatru, doznało wielkiego powodzenia, bo osobistość akademika, służyła za największą przynętę. Caro, który jest zresztą, niby w opozycji z partya re-

publikańską i którego filizofia dąży do utwierdzenia tej zasady, że udoskonalenie rasy udoskonalą zarazem moralną stronę człowieka—Caro, jest dziś na indexie u republikanów, a wrzawa i radość ich przy ukazaniu się sztuki przyczyniły się niemało do jej powodzenia.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się 2-gi półarkusz nowelli pod tyt.: Bracia.

OD WYDAWCY.

„Bluszcza“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją i na dotychczasowych warunkach.

Szanownym prenumeratorom z prowincji przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce numerów.

Dzieło premiowane na konkursie ogłoszonym przez Redakcję „Bluszcza“

Książka pod tytułem:

O WYCHOWANIU MACIERZYŃSKIM

PRZEZ

ZOFIĄ KOWERSKĄ

Wyszła z druku.

Komitety złożony z PP. Paul. Kraków, Jadw. Sikorskiej, P. Chmielowskiego, Flor. Łagowskiego, R. Pleniewicz i Henr. Struve, uproszony przez Redakcję „Bluszcza“ do rozpoznania rękopismów, uznał powyższą pracę pomiędzy nadesłanych za najlepszą i dziełu temu nagrodę przysądził.

Publiczność nasza zyskuje w powyższej książce cenny nabytek, wspomagając mogący kobietę w jednym z najważniejszych zadań jej życia.

Cena egzemplarza Rs. 2 kop. 25; w oprawie Rs. 2 kop. 75 jest, do nabycia u Wydawcy i we wszystkich księgarniach.

NIEKTÓRE WYDAWNICTWA

MICHAŁA GLÜCKSBERGA

w Warszawie, ulica Nowy-Świat Nr 55.

Znakomitsze utwory literatury nowoczesnej:

1. Laboulaye Ed., *Historja Stanów Zjednoczonych*, w 4-ch tomach, rs. 5.
 2. Vambéry, *Islam w XIX stuleciu*, przekład Wł. Bogusławskiego, kop. 80.
 3. Macaulay, Tomasz Babington, *Szkice historyczne* (Barère, Mirabeau, Fryderyk Wielki, Macchiavelli), przekład Jana Karłowicza, rs. 1 kop. 20.
 4. Simon Julj. *Obojętność*, przekład Kazimierza Kaszewskiego, rs. 1 kop. 20.
 5. Carrière Maur., *Sztuka i literatura w XVIII i XIX wieku*. (Epoka rozwoju ducha i ideały ludzkości), 2 tomy, rs. 3.
 6. Reich Dr. Edw., *Studia nad kobietą*, przekład St. Kramsztyka, rs. 1 kop. 80.
 7. Ribot T., *Współczesna psychologia pozytywna w Anglii*. (Mill, Spencer, Lewes etc.), przekład J. Ochorowicza, rs. 1 kop. 20.
 8. Agassiz L., *Plan stworzenia*, z 50 drzeworytami, przekład K. Jurkiewicza, kop. 90.
- Wszystkie 8 dzieł razem tylko rub. rs. 9, z przesyłką rub. rs. 10.
W oprawie rs. 15, z przesyłką rs. 16.

GALERIE WŁOSKIE

143 celniejszych obrazów i rzeźb, znajdujących się w galeriach:

w Rzymie, Florencji, Neapolu, Medyolanie i t. d.

w kopiach na stali

w 3 tomach

W oprawie w płótno angielskie, rs. 25.

„ w skórę kozłową, rs. 28.

102 Tomy powieści

Najznakomitszego naszego pisarza

J. I. KRASZEWSKIEGO

za rub. sr. 27, z przesyłką rub. rs. 30

(Spis szczegółowy na żądanie nadsyła się).

Ogłoszenia do BLUSZCZU przyjmuje wyłącznie kantor agenturowy BERNARDA BERSOHN w Warszawie przy ulicy Nowy-Świat Nr 67.

TREŚĆ. Zjazd pedagogów w Krakowie, przez Wł. Nowickiego.—Ostatni list, (dalszy ciąg), przez A. Ch.....—Listy krakowskie, przez Janusza Radlińskiego.—Mikołaj Sęp Szarzyński, studium, (dalszy ciąg), przez Wiktora Czajewskiego.—Korespondencja zagraniczna, (Wiedeń).—Ruch muzyczny, przez Jana Kleczyńskiego.—Nowiny paryzkie, (dokończenie).

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 1 Сентября 1881 года.

BRACIA

NOWELLA

przez

Maryę Zofię Szwarc

przekład ze szwedzkiego

(Dalszy ciąg).

Nie wiem na pewno z jakim powodzeniem uprawiał on w ciągu tego czasu rozpoczęte studia, ale poprzestawał na przesłanych przez ojca pieniądzech, nie naprzykrzając się o pomnożenie funduszy, w czem zresztą nie było nic dziwnego, gdyż ciotka Monika zasilała go bardzo często własnymi pieniędzmi. Przez cały czas jego nieobecności, życie moje upływało w naszej dolinie jak sen rozkoszny.

Wuj wraz z Rolfem otaczali mnie prawdziwie ojcowską opieką; ten ostatni został teraz moim nauczycielem. Pod jego kierunkiem otrzymałam wychowanie przewyższające gruntownością nauk, wykształcenie umysłowe wszystkich panienek w naszej okolicy.

Moi opiekunowie uważając wszelkie romanse i inne lekkiej treści książki, za szkodliwie działające na młodą wyobraźnię, pozwalali mi czytać jedynie takie dzieła, które kształcą zarówno umysł jak i serce.

Nie będąc zatem narażoną na próżne rozmarzanie umysłu mrzonkami, rozwinęłam się bardzo szczęśliwie z dziecięcia na myślącą dziewczę.

Otoczona najcudniejszemi widokami natury, oddychając najczystsza atmosferą wzniosłych uczuć, która ogarniała dom mego wuja, mogłam się czuć zadowolnioną z posiadania tego wszystkiego, co tylko mogło wpłynąć zbawiennie na moralną część mojej istoty. I rzeczywiście pamiętam, iż od pierwszego rozbudzenia się moich pojęć, powzięłam to przekonanie, iż na całej ziemi nie było ani jednego miejsca, gdzieby można żyć równie szczęśliwie, jak w naszej ustronnej dolinie i że byłam winną opatrności, najgłębszą wdzięczność, że mi dozwoliła cieszyć się tak niezmaconym spokojem i radością. Niezrównany pokój i harmonia otaczały wewnątrz moją istotę.

Używałam mego życia na podobieństwo leśnej ptaszyny, nucącej w uczuciu szczęścia pieśń na chwałę swojego stwórcy.

Kochałam i wielbiłam mego wuja i Rolfa i byłam od nich również tkliwie kochaną, i nie przypuszczałam nawet, ażeby moje szczęście, kiedykolwiek zmienić się mogło!

Tu Selma zatrzymała się nieco i po chwili bolesnego dumania, tak ciągnęła dalej:

— O! ile razy przypominę sobie, owe dni szczęścia i pokoju, muszę pomyśleć mimowolnie, że mój błogi był ówczesny, musiał już mieścić w swoim łonie, zawód wszystkich cierpień, jakie mnie następnie spotkały. Najłatwiej jest bowiem spaść ze szczytu szczęścia w otchłań niedoli.

W szesnastą rocznicę moich urodzin, podczas precudnie pięknego wiosennego poranku, wuj odezwał się do mnie:

— Selmo! weź prędko kapelusz i pójdz ze mną na przechadzkę do Weirentalu, bo chciałbym z tobą pomówić na osobności. Ucieszona myślą towarzyszenia ukochanemu wujowi, stawiałam się natychmiast na jego rozkaz. Szliśmy dość długo górzystą drogą prowadzącą na lewo od naszego

domu, pozarastaną cienistemi drzewy i krzakami malin, aż nareszcie wyminąwszy wężykowate brzegi strumienia, stanęliśmy w Weirentalu, gdzie według tradycji Ulryk von Hutten w czasie swego pobytu w zamku Ebernurskim miał spędzić wiele pięknych i samotnych godzin.

Weirental był celem najulubieńszych wycieczek mego wuja.

Przez całą drogę, rozmawiał on ze mną o cudach roślinnego świata.

Kiedysmy stanęły w Weirentalu, wuj usiadłszy pod cieniem ogromnego drzewa rosnącego tuż obok strumienia, przyciągnął mnie do swego boku i rzekł:

— Teraz ukochane dziecię musimy porozmawiać z sobą nieco poważniej. Aż do dnia dzisiejszego, życie twoje upływało na podobieństwo rozkosznego marzenia, i ani przypuszczałaś zapewne, iżby mogło przybrać kiedykolwiek inną postać, a jednakże moja Selmo! jakże to łatwo może nastąpić. Kto wie czy niezbadanemu Stwórcy nie będzie się podobało, powołać mię wkrótce do siebie, a naówczas pozostałabyś bez żadnej podpory, jak słaba trzcina wystawiona na powiew gwałtownego wiatru. Moim obowiązkiem jest zatem, ażeby myślać o twojej przyszłości, starał się o ile można zabezpieczyć twoje szczęście.

Kiedy twoja matka spoczywająca na łożu śmierci przekazywała mi w tobie swój skarb najdroższy, wówczas zaprzysiągłem jej, iż przy pomocy boskiej, będę się starał zachować jej córkę od straszliwego losu, jakiemu niegdyś sama uległa, to jest od zaślubienia jej z człowiekiem, któryby się stał niegodnym jej uczuć.

Przysięgłem jej iż będę cię strzegł od widoku cudzych namiętności i zabezpieczę twoje własne serce przed ich wpływem i dlatego też starałem ci się zapewnić bezwiedne szczęście, zdala od zamętu tego świata.

Tu przerwał wuj, a ja ośmieliłam się zaledwie zapytać, czy moja matka rzeczywiście była nie-szczęśliwą.

— O! tak, bardzo nieszczęśliwą drogie dziecię! odrzekł kładąc rękę na mojej głowie.

Poczem mówił dalej: Kocham cię z całego serca, jako jedyne dziecię mejej zmarłej siostry i nie przebaczyłbym samemu sobie, gdyby kiedys w przyszłości, któryś z moich synów miał ściągnąć nieszczęście na twoją głowę.

Byłoby to dla mnie tak ciężkiem doświadczeniem, iż nie mógłbym się zdobyć na siłę do zniesienia z poddaniem podobnego ciosu. Niechaj więc opieka Najświętszej Panny czuwa nad tobą i uchroni cię od wszystkiego złego, ty radości moich oczów!

Podezas kiedy wuj domawiał tych wyrazów, coś zaszeleściło za nami i z poza krzaków wyjrzała twarz oblakanej Małgosi, która zawołała przenikającym głosem:

— Dobry wieczór! dobry wieczór! państwo z Rheingrafensteinu kazali się kłaniać. Gotuje się tam wysoko, właśnie okropna burza i cudowne jakieś przegody. Hej! hej! miejcie się na baczności, wytam z Huttenthalu, bo całe to nieszczęście rozbija się o wasze głowy!

Z temi wyrazami postać Małgosi zniknęła na zakręcie drogi.

Wuj przez długi czas nie przerywał milczenia. Na jego czole zwykle tak wypogodzonym i spokojnym, zawisła nagle chmura troski.

Co do mnie, nie pojmując nawet żadnej obawy o przyszłość i nie ulegając smutnemu przecuciu, nie przywiązywałam najmniejszego znaczenia do słów oblakanej dziewczyny, dziwiłam się jedynie nagłej zmianie, jaka zaszła w powierzchowności mego wuja.

Milczał on jeszcze bardzo długo, aż nareszcie

pogłaskawszy mnie po twarzy, ręką utrzymaną poprzednio na mojej głowie, odezwał się do mnie:

— Pomimo wszelkich starań, jakich nie szczędziemy dla nadania światła i wykształcenia naszemu umysłowi i wykorzenienia z duszy wszelkich przesądów, pozostaje w nas mimowolnie zawsze jakiś cień zabobonu.

Tak samo dzieje się i ze mną. Przez całe moje życie pracowałem jedynie nad tem ażeby zostać prawdziwym chrześcijaninem zasadzającym całą wiarę i ufność jedynie na opatrności dobrego Boga, a jednakże ze zdumieniem spostrzegam, że dziś słowa tej oblakanej dziewczyny wywarły na mnie przerażające wrażenie. Ale dlaczego? Oto dlatego że w nich zawiera się straszliwa groźba dla wszystkich, którzy mi są najdrożsi na świecie. Tak to się zwykle dzieje, bo kiedy serce nazbyt przyłgnie do ziemskich przedmiotów, musi czuć bezustanną trwogę, ażeby mu nie wydarło jego skarbów. Oby mi Bóg zechciał ten grzech przebaczyć! To powiedziawszy zwrócił przez chwilę wzrok ku niebu i po krótkiej przerwie, tak ciągnął dalej: Wprzód nim cię objaśnię o tem, co postanowiłem uczynić dla twojej przyszłości, muszę ci opowiedzieć w skutek wyraźnej woli twej zmarłej matki, smutne dzieje jej własnego życia. Są one uderzającym dowodem, że szczęście ludzkie nigdy nie wyrasta na niwie ziemskich namiętności.

Matka twoja była piękna i dobra. Urodziła się ona, podobnie jak ja i Monika, w tym samym domu, który obecnie zamieszkujemy. Zaledwie skończyła lat siedemnaście, kiedy już pewien bardzo zacny i bogaty obywatel z Kreuznachu zaczął się o nią starać. Ojciec nasz z chęcią przyrzekł mu oddać jej rękę. Było to małżeństwo odpowiadające ze wszechmiar wszelkim towarzyskim względom, ale ponieważ ojciec uważał, że nasza siostra była jeszcze zbyt młodą, przeto umyślił odwleć aż do roku dzień jej ślubu.

Ale w przeciągu tego czasu zdarzyło się, że twój ojciec został przez kogoś wprowadzonym do domu naszych rodziców i zapłonął gorącą namiętnością do pięknej naszej siostrzyczki. Gwałtownie jego uczucie, jak niebezpieczna zaraza, znalazło odgłos w jej niedoświadczonym sercu, tak iż pod wpływem tej niespodzianej miłości oświadczyła ojcu, że nie może zostać żoną tego, któremu przyrzekł jej rękę i woli albo umrzeć, albo też połączyć się na zawsze z tym, którego jej serce wybrało. Ten nie chcąc zagradzać drogi do szczęścia swemu dziecięciu, zgodził się na jej wybór i takim sposobem została żoną twojego ojca, i to z pośpiechem, który zadziwił wszystkich. Pierwsze miesiące jej pożycia były jednym upojeniem rozkoszy, po którym jak zwykle musiało nastąpić trzeźwiejsze przebudzenie, i matka twoja nieistety! aż nadto prędko zobaczyła zmianę w swoim mężu. Czara rozkoszy została spełnioną, miłość uleciała, a miejsce jej zajęły: niesmak i unudzenie.

Przestał on najzupełniej kochać swą żonę, dom wydawał mu się zbyt jednostajnym, kwilenie dziecka doprowadzało go do niecierpliwości, a nawet w jedzeniu trudno mu było dogodzić. Coraz tedy rzadziej zaczął przebywać pod własnym dachem, po całych dniach bawił po za domem, a nakoniec zaczął odbywać odległe podróże. Przesadzoną tkliwość, którą niegdyś obdarzał swoją żonę, przeniósł teraz na inne kobiety, zaniedbywał swoje mienie, opuszczał się w interesach i nakoniec zginął w Wiesbaden, w jakimś pojedynku. Zmartwienie, zazdrość i kłopoty, do tego stopnia podkopały zdrowie twojej matki, że wkrótce poszła za nim do grobu, pozostawiając cię pod moją opieką. A teraz droga Selmo! jakąż naukę możesz wyciągnąć z życia twojej matki? Oto niezawodnie tę, że każdy człowiek pod wpływem namiętności, stanowiący o losie całego życia, bu-

duje gmach swojego szczęścia na ruchomym piasku i prądzie, czy później legnie pod jego gruzami. Gdyby była twoja matka zaślubiła człowieka, przeznaczonego sobie przez własnego ojca, byłaby posiadała prawdziwe szczęście, zasadzające się na wierności i wzajemnym szacunku.

To też umierając, zaklinała mnie, ażebym ci kiedyś w takim świetle przedstawił jej postępek, napolinając, ażebyś nigdy nie odrzucała prawdziwego dyjamentu, dla fałszywego kamyka, dlatego tylko że mocniej błyszczy.

Po tych słowach nastąpiła znowu krótka przerwa, w czasie której czułam się boleśnie dotkniętą, nieszczęśliwym życiem mojej matki.

Smutne uczucia jakie mnie przejmowały musiały się zapewne nader wyraźnie odmalować na mojej twarzy, dobry wuj bowiem odezwał się po chwili:

— Bądź przekonana moje dziecko, że gdybym nie był związanym słowem, danem umierającej matce, bolesne dzieje jej życia pozostałyby na zawsze tajemnicą dla ciebie, ale teraz dopełniwszy tak przykrego zlecenia, mogę pogadać z tobą o czemś przyjemniejszym.

To powiedziawszy ujął mnie pod brodę i podniósłszy moją twarz ku sobie zapytał:

— Powiedz że mi Selmo co też ty myślisz o Rolfie?

— A cóżbym mogła myśleć innego, zawołałam, jak tylko to, że po tobie uważam go za najdoskonalszego człowieka na świecie.

— Posiadasz bardzo przesadzone wyobrażenie o nas obydwóch mój aniele! bo niema człowieka zupełnie doskonałego na ziemi; wszyscy jesteśmy ułomniami przed Bogiem! odparł wuj z uśmiechem. A więc tak wiele trzymasz o nim?

— O! więcej niżelibym zdołała wypowiedzieć!

— Cieszy mnie to, że tak powiadasz, bo zapewne też nie wzgardzisz jego ręką?

— Co mówisz mój wuju! zawołałam zdumiona, gdyż pomimo całego chlubnego wyobrażenia, jakie miałam o Rolfie i mego przywiązania do niego, nigdy mi nie przyszło na myśl, ażeby mógł zostać moim mężem, zmieniając w ten sposób nasze wzajemne stosunki.

— Rolf kocha cię prawdziwie, owem głębokim uczuciem, które stanowi rękojmię szczęścia w przyszłości. Jest on zacnym chłopcem, który nigdy żadnego zmartwienia nie sprowadzi na twoją głowę, ty zaś jesteś miłą i gołąbeczką nawykłą do gruchania w murach naszego cichego domu pomiędzy górami, która ze swoim rozwiniętym umysłem i dobrem sercem zdolną jest do zapewnienia mu szczęścia. Bóg też, który sprzyja tym co go kochają i postępują wedle praw jego, nie omieszką obdarzyć was swoją łaską. Za pomocą tego związku, los twój zostanie zabezpieczonym w przyszłości i skoro zabraknie ci mojej pomocy na świecie, w nim znajdziesz najlepszego opiekuna, przyjaciela i obrońcę. Związek ten nie dopuści płomienia namiętności do twojej duszy, ale zapewni ci spokój i szczęście pochodzące z czystej miłości.

A więc raz jeszcze zapytuję cię moje dziecko; czy chcesz zostać żoną mojego syna Rolfa?

Za całą odpowiedź rzuciłam się w objęcia mego wuja, zapewniając go, że jestem dumna i szczęśliwą z wyboru jaki dla mnie uczynił.

Niedługo potem powróciliśmy do domu.

W drodze powiedział mi jeszcze mój opiekun, że Rolf na parę dni miał wyjechać do Bingen w jakimś interesie, a za powrotem pozałatwia wszelkie kroki potrzebne do przygotowania naszego wesela, które się odbędzie najpóźniej w połowie lata.

Nie będę nawet próbowała opisywać ci tej chwili, w której Rolf po raz pierwszy przycisnął mnie do sereja jako swoją przyszłą małżonkę, wtedy dopiero poznałam sama, jak mi był drogim i jak gorąco mnie kochał.

We dwa dni później, Rolf zaraz po obiedzie wy-

jechał w drogę, a ja uczułam wielką przykrość, rozłączając się z moim narzeczoną.

Po jego odejściu poszłam na przechadzkę do tych rozwalin starego zameczyska, ażeby bez przeszkody podumać sobie o moim najdroższym.

Usiadłam na tem samym miejscu, które obecnie zajmuję. Promienie księżyca oświecały okolice, a ja zasiałam dziękczynną modlitwę do Boga za to szczęście, które mi się uśmiechało w przyszłości, uważając je już za swój pewny udział. Nagle panującą dokoła ciszę przerwał jakiś śpiew oddalony, który co raz bardziej się zbliżał. Była to piosenka którą nieraz śpiewywałam z memi kuzynami. Słowa były układu Pfarriusa i opiewały dawne życie w Rheingrafensteinie.

Głos który ją nucił, jakkolwiek od dwóch lat już nie słyszany i o wiele silniej brzmiący niż naówczas, był mi przecież tak dobrze znany, że zerwawszy się z miejsca z głośnym okrzykiem: „To Gerard!“ pobiegłam ku stronie z kąd mnie dochodził.

W parę minut zobaczyłam przed sobą śpiewaka. Nie omyliłam się, był to rzeczywiście Gerard, który spostrzegłszy mnie z daleka, natychmiast do mnie przybiegł.

Okazał on odpowiednio do swej natury namiętne uniesienie radości na mój widok. Całował mnie po rękach, tulił do siebie, podnosił w górę, powtarzając po tysiąc razy, że tak był uszczęśliwiony spotkaniem swojej siostrzyczki, że sam już nie wie co robić z ukontentowania.

Skoro minął ten pierwszy burzliwy wybuch uciechy, usiedliśmy obok siebie, ażeby cokolwiek pogawędzić.

Zasypał on mnie jednym tchem gradem pytań, na które po części nie czekając odpowiedzi, sam ja sobie dawał.

— Ach! co też to za dzieciak ze mnie, zawołał nakoniec wybuchając szalonym śmiechem, zarzucam cię pytaniami, wiedząc dobrze że na naszej kochanej dolinie, nie nowego nigdy zająć nie może, tylko wlecze się wszystko starym trybem od potopu świata. Życie toczy się wzburzoną falą po za temi górami, nigdy nie przedzierając się do tego zakątka. O! jakże jesteś szczęśliwą, żeś nigdy nie opuszczała tej doliny! Zazdrościsz ci twojej nieznajomości świata, bo i ja też po to wróciłem do was, ażeby tu już żyć i umierać! No, powiedzże mi teraz najdroższa Selmo! czyś też myślała choć czasem o mnie, w czasie mojej nieobecności? dodał, ściskając silniej moją rękę.

— O! z pewnością myślałam nieraz o tobie Gerardzie!

— Może dopiero wtenczas ci się przypomniałem, kiedyś mój głos usłyszała?

— Ależ nie, bo wtedy myślałam zupełnie o czem innym. Powiedziałeś że na naszej dolinie, nigdy nie można usłyszeć żadnych nowin; otóż muszę cię przekonać że się mylisz i powiem ci że przeciwnie zaszło coś zupełnie niespodzianego.

— Czyż doprawdy? Może nasz Rolf przestał udawać świętego, albo jaki człowiek z innego świata zablakał się do tej pustyni, albo...

— Ale nie zgadłbyś nigdy kochany Gerardzie! i dlatego radzę ci nie łamać sobie nad tem głowy napróżno.

— Ho! ho! to doprawdy coś zajmującego. Ale ja cię już z góry zapewniam, że wiem iż w tych stronach dzieją się tylko najzwyczajniejsze rzeczy. Znam ja je dobrze. Ludziska żyją i umierają, nie wiedząc nawet że żyli.

— No, i żenią się przecie! przerwałam żywo.

— A więc to coś podobnego? Może Rolf upatrzył sobie gdzieś żonkę? Ha! szczęście mu Boże! Pewno musi być nudna jak popielcowa środa!

— Ha! nie wiem jak ją tam znajdziesz! odpowiedziałam z uśmiechem, masz ją tu bowiem przed sobą; bo to ja właśnie jestem tą przyszłą żonką Rolfa.

— Ty? krzyknął Gerard zrywając się z miejsca. Nie, Selmo! to niepodobna!

— Ha! ha! ha! co ty gadasz o niepodobieństwach, toć to już rzecz skończona! zachichotał jakiś głos po za nami.

Obejrzelismy się i spostrzegliśmy Małgosię, która stała na drodze, obrócona twarzą ku dolinie. „Czy pamiętacie historję o pięknej Adelgundzie uprowadzonej przez szatana?“ zapytała z nieprzytomnym uśmiechem. Ta historja co dzień się powtarza.

Kierowani jednym uczuciem podnieśliśmy się spiesźnie i nie odpowiadając na słowa Małgosi, zaczęliśmy się spuszczać ku dolinie. Kiedyśmy już byli na środku drogi, Gerard na nowo pochwycił moją rękę.

— Tyś pewno żartowała ze mnie Selmo! mówiąc że idziesz za Rolfa. Chciałaś się tylko ze mną podrażnić?

— A to dlaczego chciałam się z tobą drażnić?

— Mniejsza o to dlaczego, powiedz mi tylko że tak było!

— Nie mogę tego uczynić Gerardzie! jest to rzecz tak prawdziwa, jak to że znajdujemy się teraz na drodze do domu. Przed dwoma dniami wszystko już zostało ułożone, a w połowie lata będzie nasze wesele!

Powiedziałam to z dziecinną dumą, właściwą siedemnastoletniej dziewczynie, cieszącej się że może mówić o swoim weselu.

Gerard ścisnął konwulsyjnie moją rękę.

— Nierozważna dziewczyno dlaczegożes mi to powiedziała. Ale do połowy lata jest jeszcze daleko i kto wie co przez ten czas zająć może. Przyznaj się, czy gdyby ci samej pozostawiono wybór, czy byłabyś wybrała Rolfa?

— O! tak, wybrałabym go była z pewnością! zawołałam. Czuję tak serdeczną radość na myśl zostania jego żoną.

— Słowa twoje dolewają oliwy do ognia. Lepiej by było nierównie gdybyś mnie była mogła zostawić w przeciwnym mniemaniu.

— Ach! kochany Gerardzie! co też ty za dziwactwa wygadujesz? A kogóż u Boga! mogłabym wybrać za męża lepszego od Rolfa?

— Mnie!

Stał on w tej chwili przedemną tak, że jasne światło księżyca padało na przesłoniczną twarz jego. Dziwne uczucie przeszło moją duszę.

Doznawałam czegoś podobnego do trwogi i miałam ochotę uciec od niego.

— Tak właśnie musiał wyglądać ów Kuno, dla którego Adelgunda złamała wiarę narzeczonego! pomyślałam mimowolnie, odwracając się od niego.

W parę dni po przybyciu Gerarda otrzymaliśmy list od Rolfa, oznajmiający, że z powodu odmiennego obrotu interesów, będzie musiał się udać do Koblenzu i do Berlina, z kąd zapewne nie powróci przed upływem trzech tygodni.

Ta wiadomość zasmuciła mnie głęboko.

Czułam się zaniepokojoną z przyczyny Gerarda, którego ten list brata zdawał się niezmiernie radować.

O ile przedtem dni moje upływały słodko i spokojnie, o tyle teraz stały się burzliwymi.

Względem ojca Gerard okazywał się czulszym niż kiedykolwiek, stosował się do jego życzeń i nagiął do jego woli. Ale za to ów przymus, jaki sobie przy nim zadawał, względem mnie uważał za całkiem niepotrzebny. Co godzinę zmieniał swój humor. Raz był gwałtownym i przykrym do niezniesienia, to znowu czułym, nieśczęśliwym i rozpaczającym.

Zaledwie parę dni przebyliśmy z sobą, kiedy mi już wyznał, że mnie kocha do zaślepienia i nie przeżyje tego dnia, w którym zostanę żoną innego.

Nie mając zatem najmniejszego pojęcia o namiętnościach ludzkich, ani siły do powściągnięcia ich wybuchu, zostałam przedmiotem namiętnej miłości. Prześladował on mnie zazdrością, dręczył

narzekaniami i umiał dopóty rozdzierać mi serce przedstawianiem swych męczarni, dopóki nie wyzebrał u mnie objawu litości, podobnego do współczucia. Gdybym była więcej doświadczoną wiedziałabym o tem, że jedynym środkiem dla każdej szlachetnej panienki do pozbycia się natrętnej miłości jest traktowanie jej objawów z lodowatym chłodem i wstrzymywanie się od niepotrzebnej litości, któraby mogła wzbudzić jakąkolwiek nadzieję. Gerard przeciwnie przez swe gwałtowne wybuchy, doprowadzał mnie do wielu postępów, których później żałowałam. Towarzyszyłam mu na przechadzce do tych rozwalin, płakałam nad jego cierpieniem i starałam się je złagodzić dobroliwym obejściem.

Wujowi nie chciałam powiedzieć, że mnie Gerard przesładował swoją miłością, częścią dlatego żeby nie zatruwać życia starcowi, częścią zaś dlatego ażeby nie rozrywać zgody panującej między ojcem a synem. Całą nadzieję pokładałam w powrocie Rolfa, gdyż ani mi na myśl nie przyszło że Gerard mógł stanąć na przeszkodzie naszemu związkowi. Nakoniec Rolf powrócił. Rzuciłam się z okrzykiem radości w jego objęcia, a on przytulił mnie tak czule i gorąco do piersi, złożył pocałunek na mojem czole i przemówił do mnie najczulszemi słowami.

Czułam się tak bezpieczną, spokojną i pełną ufności w tem jedynem miejscu, stanowiącem dla mnie pewną ochronę przeciwko wszelkim burzom życia. Tutaj nie mogła mnie już doścignąć okrutna miłość Gerarda.

Wśród radości, jaką mnie napęlił powrót Rolfa, zapomniałam zupełnie, że Gerard znajdował się od nas o parę kroków, dopóki nareszcie głos jego sam mi o tem nie przypomniał.

— Ha! jak się masz Rolfie? zawołał. Dawno już sobie życzyłem zobaczyć się z tobą. Przerażona cofnęłam się z objęć mego narzeczonego. Przypomniałam sobie dopiero teraz, że Gerard na parę dni przedtem powiedział, iż jeżeli się odważy w jego obecności okazać najmniejszą tklliwość Rolfowi, srodze się pomści na nim za to, że go pozbawił szczęścia na zawsze.

Rolf odwrócił się natychmiast i przyjaźnie wyciągając rękę ku niemu, rzekł. A witam cię z całego serca Gerardzie. Jestem tak ucieszony, że znów zobaczył moją Selmę, że cię nawet nie spostrzegł.

Wiesz przecie czem ona teraz jest dla mnie i pojmujesz zapewne, że na jej widok mogłem zapomnieć o wszystkim.

— Ależ rozumiem aż nadto dobrze! zaśmiał się szydersko Gerard zbladłszy gwałtownie, że kiedy miłość bierze pierwszeństwo przywiązanie braterskie musi ruszać do kąta!

Każda młoda i rozkochana dziewczyna bywa zwykle samolubną i ja też za powrotem Rolfa, zapomniawszy wszelkiej trwogi, obawy, niepokoju i litości jakimś miennie przejmował Gerard, byłam znów zupełnie swobodną i piłam z mojej czary szczęścia pełnemi ustami.

Tak przeszło dla mnie kilka dni najszczęśliwszych w życiu.

Gerard polował ciągle i rzadko kiedy bywał w domu. Rolf i ja zatopieni w swoim szczęściu rozkoszowaliśmy się nieskończonemi rozmowami, tworząc najcudniejsze marzenia przyszłości, wpośród których zapominałam powiedzieć memu narzeczonemu o tem co zaszło w jego nieobecności, to jest o miłości jaką mi Gerard oświadczył. Nie myślałam już bowiem o niej wcale, a rzadko teraz widując go w domu, zapominałam nawet że żyje, za co później musiałam ciężko odpokutować.

W tydzień po swoim powrocie Rolf wyszedł bardzo rano z domu, dla zwiedzenia jednej z odleglejszych winnic swojego ojca.

Poprzedniego wieczoru Gerard wrócił z polowania i przyszedł między nami do gwałtownej sprzeczki. Powiedział on mi wręcz że odbierze sobie życie, jeżeli się odważy zaślubić Rolfa. Zaklinałam go, żeby się uspokoił; płakałam, prosi-

łam, ażeby nas wszystkich nie robił nieszczęśliwymi, ale słowa moje nie wywarły na nim żadnego wrażenia. Wymagał on bezwarunkowo, żebym się wyrzekła Rolfa, a kiedy odrzekłam że to jest niepodobiestwem, zapewnił mnie, że nie przeżyje tego dnia w którym zostanie żoną jego brata.

Cała ta scena miała miejsce w salonie. Wuj nie było w domu, ciotka Monika wyszła gdzieś na wieś, a wszyscy ludzie byli na robocie.

Wśród najzaciętszej rozprawy pomiędzy nami, Rolf nagle powrócił. Byliśmy oboje najwidoczniej wzruszeni, a on zmierzył nas jakimś szczególniejszym spojrzeniem.

Twarz jego tak wesoła i uśmiechnięta przed wyjściem z domu, miała teraz tak posępny i surowy wyraz, jakiego jeszcze nigdy na niej nie widziałam.

Nie przemówiwszy do żadnego z nas ani jednego słowa, przeszedł przez salon i wbiegł do swego pokoju, gdzie zatrzęsawszy drzwi za sobą, zamknął je na klucz.

Znalazłszy się znów samą po odejściu Gerarda, postanowiłam wszystko powiedzieć Rolfowi.

On tylko jeden mógł zapobiedz całemu nieszczęściu.

Mógł pomówić z Gerardem i naprowadzić go na drogę rozsądku. Zbliżyłam się do drzwi pokoju Rolfa; zapukałam, mówiąc że mam mu coś ważnego do powiedzenia, ale on odpowiedział zdaleka:

— Nie mam czasu, nie przeszkadzaj mi teraz! Smutna i zatrwożona wróciłam do swego pokoju, z kądem już nie wyszłam do samego obiadu.

Wszedłszy na obiad do jadalni, zastałam w niej już wuję wraz z jego synami. Rozmawiali oni o rzeczach zupełnie obojętnych. Gerard przechadzał się po pokoju. Twarz jego pomimo wymuszonego spokoju zdradzała wielkie wewnętrzne wzruszenie. Rolf wyglądał surowo i poważnie. Spojrzenie jakim mnie zmierzył przy wejściu było tak szczególne, że mi go wcale zrozumieć nie mogłam.

Po obiedzie zabrałam miejsce pod oknem, ale zaledwie tam usiadłam, kiedy już Rolf przystąpił do mnie. Stał on dość długo, spoglądając na wznoszące się nad naszymi głowami, ruiny Rheingrafensteinu. Potem obrócił się do mnie z temi słowy:

— Nieprawdaż Selmo że w mojej nieobecności, bardzo często odwiedzałaś te ruiny?

— Tak jest! odrzekłam krótko.

— Ale nie sama, wszak prawda?

— Nieinaczej, towarzyszył mi Gerard.

— Tam też spotkaliście się i po raz pierwszy?

— Tak jest, rzeczywiście.

— Powiedziała mi o tem Małgosia, dodał obracając się w zamiarze opuszczenia pokoju.

— Pozostań Rolfie! błagałam wyciągając do niego rękę. O mój najdroższy! chciałam ci właśnie powiedzieć o czem zapominałam dotąd, że...

— Że w mojej nieobecności pozwalałaś się pocieszać Gerardowi! przerwał szorstko, wyrwijając mi swoją rękę. Bardzo źle zrobiła, żeś mi tego zapomniła powiedzieć, dodał z dziko roziskrzonymi oczyma. Twoje milczenie spowodowało to, że wątpię teraz o wielu rzeczach w które dawniej wierzyłem.

Po tych słowach obrócił się znów chcąc wyjść stanowczo.

— Rolfie! pozwólże mi przemówić! prosiłam, raz jeszcze usiłując go zatrzymać.

— Nie trudź się Selmo! wiem o wszystkim i pragnąłbym nam obojemu oszczędzić wyjaśnienia, które w każdym razie jest nieco spóźnione.

Po pierwszy to raz w moim życiu widziałam Rolfa w takim uniesieniu. Zasmuciło ono mnie tak głęboko, że natychmiast wymknęłam się do swego pokoju, ażeby się wypłakać w samotności.

Były to pierwsze moje łzy boleści na tej ziemi. Opuściwszy następnie pokój, udałam się nad rzekę i tam usiadłam na brzegu.

Wieczór nadchodził. Ptaszki nuciły tak wesoło na drzew wierzchołkach, a powietrze było przejęte wonią kwiatów. Był to jeden z owych precudnych letnich wieczorów, jakie się zdarzają na całej ziemi, ale w tych stronach są jednak najpiękniejsze. Ostatnie promienie słońca zniknęły po za górą, a na ich miejsce wystąpił księżyc, siejąc swoim srebrzystym światłem na ich wierzchołki.

Spokój panujący w całej przyrodzie przelał łagodzący balsam do mojej znękaną duszy; łzy płynąć przestały, a spojrzenie pełne nadziei podniosło się ku niebu. Miałam przekonanie, że nie uczyniłam nic złego, dla czegoż więc miałam się trapić?

Ale zaledwie przez parę minut zakosztowałam tego błogiego uczucia, kiedy znowu jakiś głos tuż obok mnie zawołał: Hej! hej! po co ty tu siedzisz sama nad rzeką? Ruszaj lepiej tam na górę, do Rheingrafensteinu, a spiesz się, bo tam znowu stają dwaj bracia poważnieni z sobą. Szatan siedzi z rozwartemi rękami i czeka póki mu jeden z nich nie upadnie w ramiona, bo bratobójcza walka już jest w pogotowiu. Spiesz się dziewczyno, wyrwać ofiarę stróżowi więzienia Adelgundy! Tam na górze zastaniesz Rolfa i Gerarda:

„Jednym popędem złego wiedzeni,

Walczyli z sobą bracia rodzeni!“

zaśpiewała obłąkana Małgosia, niktąc po drugiej stronie rozwalin, które mi wskazywała ręką.

Jakim sposobem dostałam się na górę, tego sama nie umiałabym powiedzieć, lecz kiedy podwajając kroku szczęśliwie dostałam się na miejsce, spostrzegłam stojących nad przepaścią Rolfa i Gerarda. Ten ostatni położywszy rękę na ramieniu brata, mówił rozdrażnionym głosem: „Podobnie jak nie potrafisz mi dowieść tego że ona cię kocha, tak samo też nie wymusisz na mnie tego, żebym się jej wyrzekł!“

— A ja, odrzekł Rolf poważnie, jestem przekonany żebyś ją uczynił najnieszczęśliwszą i nabył gorąco ją kocham, ażebym chciał kosztem jej niedoli zapewnić ci szczęście. Oto masz moją odpowiedź!

— W takim razie nie zostanie ona, ani moja, ani twoja! Krzyknął Gerard. Przywykłeś wiecznie stawać mi na przeszkodzie, zawsze otrzymywałeś nademną pierwszeństwo, ale tym razem nie dopuszczę tego, ażebyś miał osiągnąć moim kosztem najwyższe szczęście! dodał obejmując gwałtownie wpół postać Rolfa.

Przez chwilę obadwaj chwilieli się nad przepaścią, nad której brzegiem się znajdowali. Niepopobna opisać co uczułam w tej chwili, wiem tylko, że w rozpaczyci wyciągnęłam ręce ku Rolfowi: Kiedy spojrzałam w górę, stał on jeszcze prosto, trzymając silnie rękami Gerarda.

— Selmo! zawołał obadwaj spostrzegając mnie nareszcie. Ręce Rolfa opadły i obadwaj bracia odskoczyli o parę kroków od siebie. Rolf pochylił się ażeby mnie podnieść

Twarz jego była blada śmiertelnie.

— Wstań Selmo! zawołał, i staraj się zakończyć spór, którego o mało obadwaj nie przypłaciłmy życiem, okrywając siwe włosy naszego ojca smutkiem i boleścią. Powiedz którego z pomiędzy nas kochasz, ale mów prawdę, tak jakgdybyś stała przed Bogiem?

— Ciebie Rolfie! odrzekłam, zaledwie mogąc się utrzymać na nogach.

— A więc widzę teraz, że najhaniebniej igrałaś z mojem sercem! wrzasnął Gerard. Słowa twoje sprzeciwiają się twemu dawniejszemu postępowaniu ze mną. Tylko wola naszego ojca, zmusza Selmę do tego że tak przemawiał dodał chwytając mnie za rękę. No! powiedz, dla czego kłamiesz? wołał zapalając się coraz bardziej, tu gdzie idzie o śmierć, lub życie? Dlaczego nie masz tyle odwagi ażeby wyznać że mię kochasz. kiedy wszystko w tobie świadczy, że tak jest rzeczywiście? Czyliż wtedy, kiedy przemawiałem

do ciebie językiem miłości, nie zapewniałaś mnie że łzami, że uszczęśliwiłabyś mnie, gdybyś tylko mogła? Albo, czy też choć raz wtedy wspominałaś przy mnie o twojej miłości dla Rolfa?

— Tak jest, ale czyniłam to tylko dlatego że nie chciałam cię zasmucać. O Gerardzie jakże możesz utrzymywać że cię kocham, kiedy miałeś już tyle dowodów świadczących przeciwko temu?

— A więc nie chcesz zostać moją żoną? krzyknął Gerard.

— Niel odrzekłam stanowczo.

— A więc zarówno nie będziesz i żoną Rolfa! zawołał z szalonym uniesieniem. Ciężko przypłacisz tę igraszkę z moim sercem. I pobiegł ku brzegowi wystającej skały, dodając: Na ciebie spadnie odpowiedzialność za moją śmierć, przed Bogiem i przed ojcem moim!

Po raz to już drugi w przeciągu kilku minut, widziałam go chwiejącego się nad przepaścią i nareszcie spadającego do jej głębin. Wydałam okrzyk przestrachu i zakryłam twarz rękami.

— Czy nie dość ci jeszcze tego szalonego kuglarstwa? usłyszałam mówiącego Rolfa. Obejrzałam się spiesźnie.

Na murawie, tu u stóp tego krzyża, leżał rozciągnięty Gerard, bez ruchu, z okropnie pokrwawioną głową.

Rolf klęczał obok niego i wyciągnawszy się nad nim całym ciałem, przytrzymywał go z kurezową siłą. Gerard jakkolwiek tak niebezpiecznie pokaleczony, czynił jednak bezowocnie wysilenia, ażeby się od niego uwolnić.

Rolf przemówił do niego surowo:

— Naprawdę usiłujesz mi się wydostać; powinienieś przede wszystkim pamiętać, że od dzieciństwa, byłem zawsze silniejszym od ciebie. Leż więc spokojnie, dopóki znowu nie odzyskasz rozsądku.

— Słuchaj Rolfe! odrzekł z wysileniem Gerard, jakkolwiek teraz masz tę przewagę nademną, że mnie przytrzymujesz, będziesz przecie musiał mnie w końcu puścić, a wtedy przysięgam ci na wszystko najświętsze, że nie omieszkam odebrać sobie życia, gdyby mi nawet przyszło zadusić się własnymi rękami; nie uczynię zaś tego, chyba tylko naówczas, jeżeli Selma odda mi swoje serce, do którego posiadania wzbudziła we mnie nadzieję.

Wiesz jak mało u mnie zawsze znaczyło życie i możesz być pewnym, że go teraz wyżej cenić nie będę. A więc albo Selma, albo śmierć!

— A jeżeli się wyrzeknę Selmy, czy będziesz naówczas rozsądniejszym? zapytał Rolf z wysileniem.

— Nie, to nie dosyć dla mnie. Musi ona być moją, albo: precz z życiem! Nie przeżyję dzisiejszej nocy, to ci przysięgam na cienie naszej matki!

Rolf podniósł się. Opuścił on Gerarda i rzekł obracając się do mnie. Teraz już na zawsze wszystko skończone pomiędzy nami! Od ciebie Selmo zależy wyrok życia, lub śmierci mojego brata. Staraj się tak postąpić, ażebyś mogła śmiało zdać z tego rachunek przed Bogiem. Oby ci On przebaczył to, żeś nas obojgów łudziła swoją miłością. Ja z mojej strony będę się starał ci to odpuścić!

Łzy, owa jedyna ucieczka i broń niewiasty, potoczyły mi się z oczów w tej godzinie ciężkiego doświadczenia.

Podalam rękę Gerardowi wyszeptawszy bezdzwięcznym głosem: Niechże się więc stanie jak pragniesz!

On pochwycił gwałtownie dłoń moją, chciał powstać, ale krew trysnęła mu z dwóch ran na głowie i upadł jak martwy.

Nie wyrzekłszy ani jednego słowa, Rolf wziął go na swe silne ramiona i udamy się wążką i stromą ścieżką ku domowi.

Wiele bardzo czasu upłynęło, nim rany Gerarda zagoiły się zupełnie. Zasiadłam u jego wezgłowia, rzadko kiedy odważając się na wyjście, z obawy zamęcenia spokojności choremu; zdarzyło się bowiem parę razy, że kiedy zbyt długo nie wracałam, w przystępie zazdrości, zdarł opaskę, i sam rozognił na nowo gojące się już rany.

Ileż to ja naówczas przeżyłam dni trwogi i niewypowiedzianych męczarni!

Po owym nieszczęsnym wypadku na rozwalinach Rheingrafensteinu, Rolf miał bardzo długą rozmowę z ojcem. Po skończeniu tejże, wuj mi oświadczył, że moje miejsce było teraz u łóżka chorego. Poglądził mnie on drżącą ręką po twarzy i z wyrazem głębokiego smutku spojrzął mi w oczy.

Kiedy Gerard wyzdrowiał już prawie zupełnie, Rolf odwiedził go pewnego razu oznajmując, że stosownie do życzeń ojca wyjeżdża nazajutrz na dłuższy pobyt w Anglii i Francji, dla obznajmienia się z tamtejszemi stosunkami handlowemi. Nieobecność jego w kraju przeciągnie się zapewne do lat kilku. Z największą spokojnością zaklinał go, ażeby się starał uczynić mię szczęśliwą, a potem serdecznie się z nim pożegnał. Gerard w milezieniu uściśnął dłoń swojego brata.

Tego samego dnia, dość już późno opuściwszy pokój Gerarda, weszłam do salonu.

Zastałam w nim Rolfa, który przez cały ten czas starannie mnie unikał, stojącego tamże przy oknie. Spostrzegłszy mnie wyszedł na moje spotkanie.

— Odjeżdżam jutro przed wschodem słońca i dlatego dziś jeszcze pragnąłbym się z tobą pożegnać! zawołał wiodąc mnie ku oknu, oplecione mu zewnątrz winoroślą.

Wprzód także, nim na tak długo rozstaniemy się z sobą, chcę ci powiedzieć parę słówek, błagając ażebyś je dobrze zatrzymała w pamięci.

Nie wyrażając się bynajmniej niekorzystnie o swoim bracie i nie wyrzucając mi mego mileczenia, dał mi jednakże poznać, że gdyby nie ono, można było uniknąć bardzo wiele złego, które dlatego tylko się stało, że mu nie opowiedziałam szczerze wszystkiego natychmiast po powrocie. Dowiódł mi jasno, że szlachetne przyznanie się do winy, może najlepiej naprawić każdy błędny postępek i że bez szczerości i prawdy nie ma prawdziwego szczęścia na tym świecie.

Usiłowałam parę razy przerwać jego mowę; wyrazy jego bowiem świadczyły jawnie, iż był przekonany o mojej miłości dla Gerarda; lecz ile razy otworzyłam usta, nie dozwolił mi się odezwać.

Nakoniec odezwał się z głęboką powagą:

„Nie zapominaj nigdy Selmo! że ojciec przez wzgląd na twoją przyszłość, spogląda z trwogą i niepokojem na człowieka, który obecnie ma zostać twoim mężem.

Starajże się go pogodzić z myślą o twoim związku z Gerardem i użyj wszystkich sił dla odpowiedzenia godnie twojemu ciężkiemu zadaniu. Niechaj cię Bóg strzeże i wspomagaj we wszystkim, o ty, moja najdroższa na świecie!

Po tych słowach usta jego dotknęły mojego czoła i oddalił się spiesznym krokiem z salonu. Rozpływałam się we łzach.

Bogu tylko jednemu wiadomo jak nieograniczenie kochałam go w owej chwili.

Rolf wyjechał a Gerard zupełnie przyszedł do zdrowia.

Skoro to nastąpiło, wuj oznajmił nam obojgu, że nie ma wcale przeciwko naszemu związkowi, ponieważ się dowiedział od Rolfa, żeśmy go sami sobie życzyli i tylko ze swej strony, przez wzgląd na niestałość charakteru Gerarda, kładzie jeden warunek. Był on taki, żeby Gerard nie mógł mię poślubić, aż dopiero w dwudziestym

czwartym roku swego życia. Obecnie miał on dopiero lat dwadzieścia dwa. Czas który nas przedzielał od dnia naszego ślubu, miał Gerard przepędzić w domu, dla oswojenia się z rolniczym gospodarstwem, które sobie obrał za przyszły zawód życia.

Jeżeli w przeciągu tych dwóch lat miłość jego ku mnie nie ulegnie żadnej zmianie, naówczas ojciec miał mu oddać w posiadanie folwark, znajdujący się na drugim końcu wsi naszej i ożenić go ze mną.

Gerard pomimo pewnego wstępu, poddał się wyrokowi ojca, w nadziei że tenże sam przyspieszy termin naszego ślubu.

Pierwszy rok był obfitym w rozmaite uczuciowe sceny. Musiałam już naówczas kosztować na przód smaku wszystkich mak czyścowych. Gerard był podejrzliwym, upartym, wymagającym i podlegał nader dziwnym napadom. Nie mógł on wyrzec się tego przekonania, że pozostawałam w tajemnych stosunkach listownych z Rolfem.

Nie zastanawiając się nad tem, że przymusem tylko pozyskałam moją rękę, obwiniał mnie o wiarygodność, w przypuszczeniu że dotąd zachowywałam w sercu miłość dla Rolfa.

Jednego dnia był dzikim, nieugiętym i gotowym do odebrania życia mnie i sobie, dla pozbycia się męczarni, jakiej go nabawiała sama myśl, że mogłam kochać drugiego, innym razem okazywał się czułym, skruszonym i pełnym żalu za swe niesłuszne postępowanie.

Gdybym była przyzwyczajoną do podobnych wybuchów, byłyby one na mnie mniej wywieraly wrażenia, ale aż do owego czasu życie moje upływało spokojnie bez żadnych zająsć, przypominających tego rodzaju sceny i dlatego też czułam się niemiernie pogrzebioną mojem położeniem.

Starałam się jednak ukryć moje cierpienia przed wujem, nie wtajemniczając go w to co zachodziło pomiędzy mną i Gerardem, ale nie potrafiłam udawać i wesołość moja znikła zupełnie.

Przestałam już wyspiewywać ochocze piosenki, nie biegałam swobodnie po górach, ale spokojnie siedziałam w domu, spoglądając obojętnie na przechodzące jedne za drugimi dni mojego życia. Nim jeszcze rok upłynął, zmieniłam się już tak dalece, że wuj uczuł się żywo zaniepokojonym.

— No i jakże tam Selmo? mawiał nieraz do mnie; zaczynam się obawiać że Gerard zatruwa ci życie i że już żałujesz uczynionego kroku.

Spojrzałam mu w oczy i przypomniałam sobie wyrazy Rolfa.

Objęłam za szyję ukochanego starca i wyjąkałam niesmiało:

— Obawiam się, że nie jestem taką dla ciebie i dla Gerarda, jakąbym sama być chciała.

— Czy ty go kochasz naprawdę? zapytał wuj całując mię kłiwie.

— Zapewne, ale nie tak, jak Rolfa.

Zbyt czułem byłoby tu powtarzać, co mi naówczas odrzekł. Powiedział mi on, że Gerard był właśnie dziecieniem którego los najbardziej leżał mu na sercu, dlatego szczególnie że jego charakter wzbudzał w nim bezustanną trwogę. Przypominał mu on rysami, jego nigdy nie odżałowaną małżonkę, co było właściwie przyczyną pewnej słabości okazywanej w dziecięctwie Gerardowi, dla której nie starano się powściągać surowością jego błędów i przyprowadzić do równowagi burzliwe pierwiastki jego natury.

(Dalszy ciąg nastąpi).